



**Jessica Steele**



*Niezawodna sekretarka*

## ***ROZDZIAŁ PIERWSZY***

Taryn zagryzła wargi, po czym zjechała na pobocze. Zaparkowała samochód i siedziała tak nieruchomo. Kompletnie wytrącona z równowagi tym, co właśnie zrobiła - co zrobił Brian Mellor.

W Mellor Engineering, firmie odnoszącej duże sukcesy, pracowała od pięciu lat. Briana Mellora, szefa firmy, pokochała dwa lata temu, gdy awansowała na jego osobistą asystentkę. Pracowało im się razem świetnie. Brian był sympatyczny. Wysoki blondyn, zawsze ciepły, pogodny i uprzejmy.

I żonaty! Angie, jego druga połowa, była równie miła. Uroda raczej przeciętna, za to charakter nadzwyczajny. Ona i Brian byli udanym małżeństwem, mieli dwójkę sympatycznych dzieci.

Niestety, jakieś pół roku temu Taryn zaczęła podejrzewać, że w stadle Mellorów wcale nie panuje harmonia. Podczas wizyt Angie w biurze z gabinetu szefa do uszu Taryn zaczęły nagle dolatywać ostrzejsze słowa, a przed dwoma miesiącami wizyty Angie raptem się skończyły.

- Co u Angie? Jak się miewa? - spytała Taryn któregoś piątku.

- Wspaniale - odparł Brian i przeszedł do spraw służbowych, co bardzo zmartwiło Taryn. Znała Angie wystarczająco dobrze, żeby do niej zadzwonić. Oznaczałoby to jednak wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

I kto by pomyślał, że tak to się skończy!

Odeszła z pracy. Jej samej trudno było w to do końca uwierzyć. Odeszła, choć była dobrą asystentką. Swego szefa darzyła skrycie gorącym uczuciem, a jego żonę wielką sympatią.

Siedząc w samochodzie, odtwarzała w pamięci wypadki tego dnia. Rano zaparkowała samochód przed wielkim biurowcem i udała się do swojego miejsca pracy, czyli firmy Mellor Engineering. Przyszła pierwsza. Czasami jej się to zdarzało, w zależności od atmosfery panującej w domu. Jeśli była nie

najlepsza, Taryn znikła z domu jak najwcześniej, a wracała, oczywiście, jak najpóźniej.

Kiedy Brian pojawił się w swoim gabinecie, był trochę zamyślony, czymś bardzo zmartwiony. Taryn, naturalnie, powstrzymała się od komentarzy. Przekazała tylko informacje na temat bieżącej poczty i wróciła do sekretariatu, skąd dyskretnie obserwowała szefa. Ze wzrastającym niepokojem. Ten nadzwyczaj pogodny człowiek przez cały dzień ani razu się nie uśmiechnął.

Kiedy o czwartej weszła do jego gabinetu, nie wytrzymała:

- Brian, co się dzieje?

- Och, nic!

Machnął lekceważąco ręką, zaraz jednak potem poderwał się z krzesła. I wyrzucił z siebie zdławionym głosem:

- Mam tego dość!

- Och, Brian, kochany...

Niestety. Te słowa, wielokrotnie powtarzane w myślach, teraz wypowiedziała na głos.

Szef jęknął. I objął ją. W sumie nic takiego wielkiego. Szef ma problem i na gwałt potrzebuje ciepła drugiego człowieka.

Jednak dla Taryn był to szok. Sparaliżowało ją. Przedtem, o ile pamięć jej nie zawodziła, instynktownie chwyciła się jego marynarki.

Prawdopodobnie tym właśnie go zachęciła.

Pocałował ją. Po kilku sekundach jego ramiona zacisnęły się wokół Taryn zdecydowanie mocniej, a pocałunek stał się bardziej namiętny.

Oczywiście, że przez głowę zakochanej Taryn przemknęła pewna myśl. A może machnąć ręką na wszystko i poddać się chwili...

Natychmiast jednak pojawiła się następna myśl, o Angie i o dzieciach. Wtedy odepchnęła Briana i nie czekając na żadne słowa przeprosin czy wyjaśnienia, błyskawicznie przeszła do sekretariatu. Chwyciła torebkę, zakiet i zanim Brian zdążył zaczerpnąć tchu, wymaszerowała na korytarz.

Jak wicher zbiegła po schodach i połykając łzy, dopadła do windy. Była pewna, że jedzie sama. Zresztą i tak by chyba nikogo nie zauważyła, przez łzy i z powodu zamętu w głowie.

Jednak ten ktoś się odezwał. Ładnym, niskim, bardzo męskim głosem.

- Zdenerwowało coś panią?

Był wysoki, wyglądał na trzydzieści parę lat. Ciemne włosy, szare oczy, a sądząc po kroju garnituru i gatunku materiału, był to ktoś, kto niewątpliwie wspiął się wysoko. Na pewno. Teczka, którą trzymał w ręku, prawdopodobnie kosztowała majątek.

- Przepraszam, o co chodzi? - spytała opryskliwie, bo facet wydał jej się po prostu natrętny.

- Może mógłbym pani w czymś pomóc?

- Wątpię! - odparła niezbyt grzecznie. Na szczęście winda dojechała już do celu, dzięki czemu udało się uniknąć dalszej wymiany zdań.

Taryn wybiegła z windy, po chwili siedziała już w swoim samochodzie. Odruchowo skierowała się w stronę domu, szybko jednak uświadomiła sobie, że wcale nie ma ochoty tam jechać. Wiedziała, co prawda, że jej ojciec, emerytowany naukowiec, nie będzie dociekał, co jego córka o tak wczesnej porze robi w domu, ale macocha to co innego, zwłaszcza że kilka dni temu odeszła od nich kolejna gosposia. Macocha od razu przedstawi Taryn wykaz prac domowych, które należy wykonać, poza tym zasypie gradem pytań. Niestety, Taryn nie układało się z macochą najlepiej.

Może powinna pojechać do ukochanej ciotki Hilary? No, a poza tym ciotka prowadziła Agencję Pracy Tymczasowej.

Chwyciła za komórkę.

- Ciociu? To ja! Nie przeszkadzam?

Wypadało zapytać, ciotka przecież, podobnie jak Taryn, miała w genach pracoholizm Websterów. Od trzydziestu lat wdowa, umiała zadbać o swoje

interesy. Hilary nie musiała pracować, nie potrafiła jednak siedzieć bezczynnie. Jej firma cieszyła się świetną opinią.

- Taryn? Nie jesteś w biurze?

- Nie. Możemy się teraz spotkać?

- Oczywiście, kochanie.

Pół godziny później Taryn już kończyła opowieść.

- Ale dlaczego się zwolniłaś, dziecko? - spytała Hilary zmartwionym głosem. - Powiesz mi?

- Nie, ciociu. Po prostu nie mogę.

Ciotka nie nalegała, za co Taryn była jej bardzo wdzięczna.

- Musisz to wszystko spokojnie przemyśleć. Kto wie, czy nie zechcesz tam wrócić.

- Nie. Nigdy - odparła Taryn z pełnym przekonaniem. Była zakochana w Brianie, nie chciała wystawiać się na taką pokusę. Poza tym Brian i Angie na pewno uporają się z kryzysem.

- Może chciałabyś, dziecko, żebym poszukała ci jakiegoś tymczasowego zajęcia? Dopóki nie znajdziesz sobie czegoś na stałe.

- Może... W każdym razie nie jako asystentka. Do tego zajęcia mam chwilowo awersję.

- W porządku. Ty we wszystkim jesteś dobra. Pamiętasz, jak ci świetnie szło, kiedy podczas studiów znalazłam ci pracę kelnerki? Mieli wielką ochotę zatrzymać cię na stałe. W każdym razie coś na pewno znajdę.

- Dzięki, ciociu.

- Za wcześnie na podziękowania. A powiedz, co tam u was? Słyszałam, że pani Jennings odeszła. Czuję, że dziś wieczorem ty staniesz przy garnkach.

- Mam to jak w banku.

Nie łudziła się. Macocha - która w końcu sama była kiedyś ich gospożą - prowadzeniem domu interesowała się tyle co nic. Umiejętności kulinarne ojca były żadne, czyli Taryn w zasadzie nie miała wyboru.

- Ta kobieta traktuje cię jak służącą. Kiedy ty się w końcu stamtąd wyprowadzisz?

- Dobrze wiesz, ciociu, że za każdym razem, kiedy chcę to zrobić, dzieje się coś złego.

- Oczywiście, że wiem! Za pierwszym razem, tuż przed twoją wyprowadzką, biedna macocha upadła. Ledwo kuśtykała. Następnym razem zaczęła przebąkiwać o operacji, podobno koniecznej. Kiedy zrezygnowałaś z przeprowadzki, wszystkie dolegliwości jakimś cudownym sposobem same ustąpiły.

- Masz świetną pamięć, ciociu!

- Przede wszystkim znam Evę Webster trochę dłużej niż ty. Kiedy była jeszcze Evą Brown.

Teraz, niestety, była drugą panią Webster, ponieważ matka Taryn, osoba niezwykle łagodna i cierpliwa, w końcu nie wytrzymała życia u boku wiecznie nieobecnego duchem męża. W dniu piętnastych urodzin córki poinformowała ją, że swoje uczucie przelała na innego mężczyznę. Po jej odejściu prowadzeniem domu zajęła się gospośia. Wdowa Eva Brown dzień swego ślubu z Horace'em Websterem potraktowała jako początek nowej epoki w swoim życiu. Chodziło nie tylko o stan cywilny, ale także o to, że dni, kiedy zajmowała się domem, dobiegły końca. Definitywnie.

- A co słyhać u mojego ukochanego kuzyna? - spytała Taryn, pragnąc zmienić temat.

- Żadnych sensacji. Jak zwykle, mnóstwo roboty.

- Kiedy zadzwoni, ucałuj go ode mnie - poprosiła Taryn i wstała z krzesła.

- Będę już lecieć, ciociu.

- Leć, dziecko. I nie martw się. Za dzień, dwa spojrzysz na wszystko inaczej

Oby! Taryn życzyła sobie z całego serca, żeby słowa ciotki się sprawdziły.

- Co się dzieje? - spytała macocha, kiedy tylko Taryn przekroczyła próg domu.

- A co ma się dziać? - spytała zaskoczona Taryn. W końcu zjawiała się w domu o względnie normalnej porze.

- Brian Mellor dzwonił już dwa razy. Dzwonił też do ciebie na komórkę, ale podobno miałaś wyłączoną. Lepiej zadzwoń do niego, może to coś pilnego.

- Dobrze. Ugotowałaś coś na obiad?

- A skąd! Miałam potworną migrenę.

Taryn bez słowa poszła do kuchni. Po nakarmieniu całej rodziny udała się na spoczynek, tej nocy jednak natrętne myśli spędzały jej sen z powiek. Nic dziwnego, miała o czym myśleć. Kochała swoją pracę i szło jej świetnie. Znała terminologię techniczną, nie miała problemów z komputerem. Pisała bardzo szybko i równie szybko uczyła się nowych rzeczy. Do nowych zadań podchodziła z entuzjazmem.

I nagle koniec, z powodu jednego pocałunku. Niby o tym marzyła, a jednak spanikowała. Uciekła stamtąd, jechała windą...

O, matko! W tej windzie był jakiś facet. Trochę na nim odreagowała. Chyba nie za mocno?

Dziwne, że zapamiętała go tak dobrze. Wysoki. Oczy szare, poznałaby go od razu. Spytał, czy coś ją zdenerwowało. Potem zaproponował pomoc, a ona zachowała się jak ostatnia jędrza.

Trudno. Prawdopodobnie nigdy w życiu go już nie zobaczy.

Kiedy nadszedł ranek, pojawił się nowy problem. Jak wyjaśnić ojcu i macosze swoją obecność w domu. Z ojcem mniejszy kłopot, od świtu zajęty był nowym doświadczeniem. Później zanieś mu coś do przegryzienia. Gorzej z macochą. Oczywiście ona na pewno zażąda wyjaśnień. Będzie musiała gęsto się przed swoją macochą tłumaczyć.

- Jeszcze tu jesteś?! - krzyknęła, kiedy gdzieś koło dziewiątej wpadły na siebie w holu. Na szczęście nie zdążyła zadać kolejnych pytań, ponieważ zadzwonił telefon i macocha rzuciła się do słuchawki.

- Halo! Brian? To ty? Czyżby moja niegrzeczna pasierbica nie zadzwoniła do ciebie?

Taryn dawała jej rozpaczliwe znaki, że absolutnie nie ma ochoty z nim rozmawiać. Po sekundzie wahania macocha postanowiła przychylić się do jej prośby.

- Przykro mi, Brianie, ale Taryn wyszła na chwilę. Może coś jej przekazać?

Nie przekazał nic, za to macocha, kiedy tylko odłożyła słuchawkę, kategorycznym tonem zażądała wyjaśnień.

Dlaczego Brian dzwoni do Taryn do domu, kiedy ona powinna być w jego biurze?

- Zwolniłam się - oznajmiła Taryn. - Chyba już nie chcę pracować jako asystentka.

- To po co on dzwoni?

- Nie wiem.

Na moment zapadło milczenie. I nagle oczy Ewy Webster rozbłysły.

- Zwolniłaś się! Czy to nie cudownie? Pani Jennings odeszła, a więc ty zajmiesz się domem!

- Ja? Och! Mam być gosposią? Nie... - nieśmiało zaprotestowała Taryn, co nie odniosło żadnego skutku.

- Chyba nie zamierzasz lenić się przez cały dzień! - oświadczyła Eva karcącym tonem, chociaż sama sztukę leniuchowania doprowadziła do perfekcji.

Taryn zajęła się zatem domem. Najpierw jednak przesłała Brianowi oficjalne wymówienie, w którym jako powód swego odejścia podała nieprzewidziane okoliczności. Brian natomiast przesłał jej liścik, w którym gorąco i wylewnie przeproszał za przekroczenie niedozwolonej granicy w



relacjach między pracodawcą a jego osobistą asystentką. Jego zachowanie było naganne. Obiecuje, że nigdy to się nie powtórzy. Jeśli jej decyzja o odejściu jest nieodwołalna, to trudno. Gdyby jednak kiedyś zmieniła zdanie, w Mellor Engineering zawsze znajdzie się dla niej miejsce.

Taryn, czytając jego list, z trudem powstrzymywała łzy. Chyba nigdy dotąd nie kochała Briana tak gorąco jak teraz. Czowała się nieszczęśliwa, że więcej go już nie zobaczy, nie będzie uczestniczyć w tym ruchliwym, pełnym emocji życiu zawodowym, bez porównania ciekawszym niż gotowanie i sprzątanie. Po dwóch tygodniach miała serdecznie dość wykonywania poleceń macochy. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie pojechać na jakiś czas do matki. Jednak taka decyzja wymagała głębokiego namysłu. Matka i jej drugi mąż pracowali jako wolontariusze w Afryce. Czy przyjazd Taryn by ich ucieszył? Listy matki były zawsze bardzo ciepłe, ale...

Tego dylematu nie zdążyła rozwiązać, ponieważ zadzwoniła ciotka Hilary.

- Co porabiasz, dziecko?

- Sprzątam. Gotuję. Czytam gazetę. „Dam pracę” na zmianę z rubryką „Do wynajęcia”.

- Aż tak źle?

- Fatalnie nie jest - odparła Taryn, bo nie chciała martwić ukochanej ciotki. - Tylko że ja do pracy gospośni po prostu się nie nadaję.

- Szkoda.

- To znaczy?

- Poproszono mnie o znalezienie gospodyni na dwa tygodnie. Nie chcę byle kogo, dlatego pomyślałam o tobie. Myślę, że warto się nad tym zastanowić. Przez dwa tygodnie komfort psychiczny zapewniony, masz pracę i mieszkanie. Czternaście dni z dala od tej koszmarnej Evy.

- Sama nie wiem... - mruknęła Taryn.

Cóż, przynajmniej nie będzie gotować i sprzątać dla kogoś takiego jak Eva Webster.

- U kogo miałabym pracować? I gdzie?

- U uroczego starszego pana, w Walii, w pięknym hrabstwie Herefordshire.

- Jesteś pewna, że jest uroczy?

- Jak najbardziej. Dzwoniła do mnie jego gospodyni, pani Ellington. Pracuje u pana Osgooda Comptona od dziesięciu lat. To sympatyczny pan po osiemdziesiątce. Prawdziwy dżentelmen. Niestety, córka pani Ellington nie czuje się dobrze. Pani Ellington koniecznie chce do niej pojechać, na tydzień, może trochę dłużej. Dlatego na gwałt potrzebuje zastępstwa.

- Rozumiem, ciociu. Czy mogę się zastanowić?

- Niestety, decyzję należy podjąć od razu. Potrzebują kogoś dosłownie od zaraz.

- Dobrze, ciociu. Podaj mi dokładny adres.

- Cudownie! Kiedy możesz tam jechać?

- Jutro.

Zgodnie z przewidywaniami Taryn macocha nie była zachwycona takim obrotem spraw. Następnego ranka Taryn szybko pokonała drogę z Londynu do wioski Knights Bromley i bez trudu odszukała wielki, stary dom swego nowego pracodawcy, gdzie czekała na nią gotowa do wyjazdu pani Ellington. Przekazała Taryn garść informacji na temat jej obowiązków i przedstawiła panu Comptonowi.

Osgood Compton faktycznie był dżentelmenem w każdym calu i człowiekiem szalenie sympatycznym. W rezultacie Taryn po zaledwie kilku dniach czuła się, jakby знаła pana Comptona przez całe życie. W końcu tygodnia doszła do jeszcze jednego wniosku. Nigdy w życiu nie miała pracy tak całkowicie bezstresowej. Cisza, spokój, choć Osgood Compton, jak na swoje

osiemdziesiąt dwa lata, był dżentelmenem bardzo zwawym. Umysł też miał żywy i łaknął wrażeń. Uwielbiał spacerować i często prosił Taryn o towarzystwo.

Wszystko odbywało się według ustalonego schematu. W drzwiach kuchni pojawiał się pan Compton z uprzejmym zapytaniem:

- Czy możesz oderwać się na chwilę od tego, co właśnie robisz?

Taryn uśmiechała się entuzjastycznie i razem z panem Comptonem wyruszała na długi spacer, tym przyjemniejszy, że pan Compton lubił także pogawędzić. Szli więc i rozmawiali na najróżniejsze tematy. Przy okazji Taryn miała okazję się wykazać. Pan Compton, z zawodu inżynier, był zachwycony, że Taryn zna terminologię techniczną.

W końcu drugiego tygodnia zadzwoniła pani Ellington. Okazało się, że z jej córką jest naprawdę źle. Operacja jest nieunikniona. W związku z tym pani Ellington bardzo by chciała zostać z córką jeszcze przez cztery tygodnie. Pan Compton wyraził zgodę, po czym zwrócił się z zapytaniem do Taryn.

- Wytrzymasz ze mną przez następny miesiąc?

- Uwielbiam tu być! - odpowiedziała najzupełniej szczerze. - Jeszcze jeden miesiąc? Nie ma problemu.

Wieczorem Taryn przypadkiem usłyszała, jak pan Compton dzwonił do swojej córki, która po ślubie zamieszkała w Stanach. Ojciec i córka dzwonili do siebie dosyć często, musieli być w bardzo serdecznych stosunkach.

A to, co podsłuchiwała Taryn, było bardzo miłe. Pan Compton mianowicie powiedział, że los mu sprzyja. Jeden klejnot wśród gospodyń zamieniony został na drugi. Na prawdziwy brylant.

Potem Taryn zadzwoniła do domu i usłyszała radosną wiadomość. Macocha znalazła nową gosposię. Czyli nie ma potrzeby spieszyć się z powrotem.

Lato było piękne. Pogoda dopisywała i pan Compton stwierdził, że przesiadywanie w domu byłoby przestępstwem. Zarządził pikniki. Taryn nie trzeba było do tego namawiać. W końcu to, co robiła w ciągu dnia, mogła zrobić

też wieczorem. W rezultacie dzień za dniem mijał podobnie. Rano krzątania, potem leniwy spacer do miejsca, gdzie robili sobie piknik. Czasami, żeby ugasić pragnienie, wpadali do wiejskiego pubu.

Kiedy czwarty tydzień miał się ku końcowi, Taryn nadal była zdania, że do Mellor Engineering nie wróci. Ale czuła się już na siłach podjąć pracę w jakimś biurze. Czyli, jak się okazało, ta sielska przerwa była bardzo potrzebna, żeby naładować akumulatory. Teraz absolutnie była zdecydowana, że wraca do swojego zawodu, poza tym spręza się i koniecznie znajduje sobie jakieś lokum.

Z realizacją swoich planów musiała jednak jeszcze trochę poczekać, ponieważ zadzwoniła pani Ellington. Jej córka ogólnie czuła się już nieźle, jednak po okresie rekonwalescencji nastąpiło pogorszenie zdrowia.

- Taryn, proszę, mogłabyś zostać jeszcze tydzień albo dwa? Wiem, że pan Compton jest tobą zachwycony.

Czy można było odmówić? Też była nim zachwycona, a poza tym - i przede wszystkim - biedna córka pani Ellington przeżywała teraz bardzo trudne chwile.

- Oczywiście, że mogę. Czy rozmawiała już pani z panem Comptonem?

- Tak. On, oczywiście, powiedział, żebym została tu tak długo, jak trzeba. Czuję jednak, że trochę krępuje się prosić ciebie o przedłużenie twojego pobytu.

- Proszę się nie martwić. Pójdę do niego i powiem, że szkoda mi stąd wyjeżdżać.

Pan Compton, kiedy to usłyszał, rozpląnął się w uśmiechu.

- Świetnie się składa, Taryn. Bo pani Ellington może wrócić dopiero za tydzień.

W sobotę, kiedy pan Compton ucinał sobie drzemkę, Taryn pomyślała, że miło mu będzie wypić popołudniową herbatkę na dworze i skosztować ulubionego ciasta, które właśnie upiekła tego ranka. Kiedy zaczęła ustawiać na tacy kruchą chińską porcelanę, nagle usłyszała szum silnika. Przed dom zajechał

jakiś piękny, lśniący samochód. Dziwne, przecież pan Compton nie wspominał o żadnych gościach.

Ten ktoś zaraz zadzwoni do drzwi, a starszemu panu nie powinno się przerywać drzemki. Pragnąc uprzeczyć wypadki, wybiegła na dwór. Dopadła do samochodu dokładnie w chwili, gdy wysiadał z niego kierowca.

Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna.

Spojrzał na nią i nagle znieruchomiał. Jakby strzelił w niego piorun. Po chwili odzyskał jednak mowę i zwrócił się do Taryn wyjątkowo nieprzyjemnym tonem:

- To pani?! A skąd się pani tu wzięła?

- Przepraszam, czy my się znamy? - spytała, w głowie jednak zaczynało coś świtać.

Wtedy miał na sobie urzędowy garnitur. W ręku teczka, wyglądająca na bardzo drogą.

Matko święta, przecież to ten facet z windy! Jechała razem z nim, kiedy zwała z biura Briana Mellora. Przystojniak do niej zagadał, a ona potraktowała go niezbyt uprzejmie.

Spytał, skąd ona tu się wzięła.

Ciekawe, skąd on tu się wziął.

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

Taryn potrzebowała minuty, żeby go rozpoznać. Jemu wystarczyło jedno spojrzenie. Na śliczną twarz, jasne włosy i drobną postać.

- Nie spodziewamy się gości - oświadczyła.

- My?!

Wyraźnie nie spodobał mu się fakt, że Taryn bawi się w strażnika i opiekuna mieszkańców tego domu. Ten fakt jednak też zlekceważył, bo wyminął ją i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi.

Postanowił ją kompletnie zignorować. Chociaż nie. Przystanął i wycedził:

- A więc to pani jest tą niezastąpioną Taryn, której pełno na linii telefonicznej stąd do Nowego Jorku? Tym brylantem, który za wszelką cenę chce się tutaj wkręcić na stałe?

- Na stałe?! Myli się pan, panie...

- Nash. Jake Nash. Pan Compton jest moim wujem, ściślej, ciotecznym dziadkiem.

- Bardzo mi miło. A ja jestem Taryn Webster, która zamierza wyjechać stąd zaraz po powrocie pani Ellington.

Jej oświadczenie Jake Nash pominął milczeniem i ruszył w kierunku do drzwi.

No proszę, niby cioteczny wnuk prawdziwego dżentelmena. Jak daleko jednak czasami pada jabłko od jabłoni!

- Panie Nash, przepraszam, ale pan Compton właśnie teraz zapadł w swoją popołudniową drzemkę. Może napije się pan herbaty? Zapraszam do kuchni.

- Może to i dobry pomysł.

Drogę do kuchni znał. Kiedy tam już weszli, Taryn szybko się przekonała, co miał na myśli, mówiąc, że to niezły pomysł. Nie usiadł, choć zapraszała, tylko przystąpił do regularnego śledztwa.

- Pani jest gospodynią mojego wuja?  
- Tymczasowo. Do powrotu stałej gospodyni pana Comptona.  
- Kiedy wróci?  
- Kiedy jej córka dojdzie do zdrowia.  
- Tak jest ustalone?  
- Oczywiście! Chwileczkę! - Facet zdecydowanie był coraz bardziej wkurzający. - A dlaczego pana tak to interesuje? Przecież to nie pan przyjmował mnie do pracy!

- Interesuje mnie, bo pani w tak krótkim czasie zdążyła wytworzyć wokół siebie atmosferę, jakby była tu niezbędną!

- W końcu po to mnie zatrudniono!  
- Czy do obowiązków gospodyni należą również długie spacery z pracodawcą...

- Jeśli chodzi o ścisłość, wcale nie takie długie!  
- ... łącznie z wyciąganiem pracodawcy do pubu?  
- O, przepraszam! To pan Compton zawsze mnie zapraszał! Ja zaprosiłam go tylko raz, kiedy padało, a pan Compton miał powyżej uszu siedzenia w domu!

- Jak słyszałem, doszło nawet do tego, że namówiła go pani do gry w rzutki!

Omam nie zaśmiała mu się w nos. Jednocześnie jednak mogłaby przysiąc, że w oczach Jake'a Nasha zamigotały wesołe iskierki.

- O co panu właściwie...

Nagle zaskoczyła. No jasne! Przecież on nie bez powodu wspomniał o tej przeciążonej linii telefonicznej stąd do Nowego Jorku.

- Rozmawiał pan z Beryl, córką pana Comptona?

W pierwszej chwili nie odpowiedział, tylko jej się przyglądał. Tak uważnie, że nawet pomyślała, czy przypadkiem nie spodobały mu się jej szafirowe oczy.

- Beryl zadzwoniła do mojej matki.

- Rozumiem. Z prośbą, żeby pan wpadł do wuja i sprawdził, jak wygląda sytuacja.

- Dziwi się pani? Taryn to, Taryn tamto. Nic, tylko ciągle Taryn.

- Matko święta! Ona myśli, że poluję na pieniądze pana Comptona?! Że pan Compton za... zakochał się we mnie?!

Była tak oburzona, że z trudem wydobywała z siebie głos.

- Panią Ellington Beryl zna, a pani nie. Nie może mieć pani do niej pretensji, że boi się o ojca. A ja akurat mam dzisiaj do pozalątowania różne sprawy, pomyślałem zatem, że przy okazji zajrzę do wuja.

- Jake!

Radosny okrzyk wyszedł oczywiście z ust pana Comptona, wypoczętego po popołudniowej drzemce.

Tym razem Taryn była bardzo zadowolona, że starszy pan, któremu słuch zaczynał już szwankować, nie mógł usłyszeć ich rozmowy i nie będzie się denerwował, że córka pilnuje go jak dziecka.

- Witaj, drogi chłopcze. Jak się cieszę, że cię widzę! Starszy pan uściskał ciotecznego wnuka, po czym zwrócił rozpromieniony wzrok na Taryn.

- Jake, na pewno poznałeś już moją tymczasową gospodynię. Taryn jest...

Taryn, pragnąc uprzedzić niewątpliwe zachwyty nad swoją osobą, szybko wystąpiła z propozycją.

- Może podam herbatę w ogrodzie?

Osgood Compton odniósł się do tego entuzjastycznie. W związku z tym Taryn wystąpiła z kolejną propozycją.

- Panie Nash, czy mógłby pan wziąć tę tacę?

Podawała mu załadowaną tacę. Panowie wyszli do ogrodu, ona zajęła się parzeniem herbaty, przy okazji dochodząc do wniosku, że faktycznie nie powinna czuć urazy do Beryl.



- Zapomniałaś o jednej filiżance - zauważył pan Compton, kiedy pojawiła się przy ogrodowym stole. Chciał, żeby usiadła razem z nimi. Było to bardzo miłe i gdyby nie obecność Jake'a, Taryn z chęcią dotrzymałaby towarzystwa starszemu panu. Teraz nie, chociaż na pewno nie ze strachu, że Jake puści w świat nową sensację - wuj popija herbatkę w towarzystwie swojej gospodyni.

Nie. Po prostu pomyślała, że pan Osgood Compton na pewno ma ochotę na męską rozmowę.

- Bardzo dziękuję, ale mam coś w piecyku.

Oczywiście, zapiekanki tak naprawdę nie trzeba było pilnować.

- Jak uważasz - powiedział pan Compton, a potem poinformował wnuka: - Taryn pracuje u mnie tylko tymczasowo. Dla odmiany, bo na co dzień siedzi w branży technicznej.

- Jest pani inżynierem? - spytał Jake. Dziwne, sprawiał wrażenie, jakby naprawdę go to interesowało.

- Niestety, nie. Rozczaruję pana. Tylko asystentką.

Kiedy pokonywała trawnik w drodze powrotnej do domu, słyszała, jak Osgood Compton udzielał wnukowi dodatkowych informacji.

- Taryn była asystentką w Mellor Engineering. Słyszałeś o tej firmie, prawda?

Na pewno słyszał, pomyślała Taryn, popijając w kuchni herbatę. Teraz skojarzy, dlaczego spotkał ją w windzie w tym właśnie biurowcu. Oczywiście, nie ma siły, żeby doszedł, dlaczego była taka zdenerwowana. Chociaż informacja pana Comptona o tym, że Taryn nagle zapragnęła odmiany w swoim życiu zawodowym, może człowieka o wystarczającym ilorazie inteligencji doprowadzić do właściwego wniosku.

Iloraz inteligencji Jake'a Nasha na pewno jest wysoki. Kto wie, czy nie pomyślał, że po prostu wywalono ją z pracy. Niech sobie myśli, co chce.

Nie, nie podobał jej się ten cały wnuk. Życie z panem Comptonem było takie miłe i spokojne. Pełna harmonia. A ten tu raptem pojawia się i robi burzę w szklance wody...

Kiedy zauważyła przez okno, że panowie wstają od stołu i kierują się w stronę kuchni, uciekła do swojego pokoju. Ostatecznie to gość pana Comptona, ona wcale nie ma obowiązku go żegnać. Zeszła na dół dopiero wtedy, gdy samochód zniknął za domem. Poszła do kuchni i zaczęła skrobać młode ziemniaki.

- Jake pojechał - oznajmił pan Compton, ukazując się drzwiach.

- Już pojechał? Miło, że pana odwiedził. Oczywiście, nie było powodu, żeby ten kochany człowiek dowiedział się, dlaczego tak naprawdę drogi wnuczek złożył mu wizytę.

- Bardzo miło - przytaknął pan Compton. - Tym bardziej że on jest zwykle zajęty. Jest prezesem Nash Corporation. Na pewno słyszałaś o nich.

Czy słyszała? Taryn z wrażenia omal nie wypuściła nożyka z rąk. Wszyscy w branży słyszeli o Nash Corporation. Zakres ich działalności był imponujący. Nie tylko technologie, także wzornictwo przemysłowe, rozwój, produkcja, zahaczali o elektronikę, lotnictwo...

- Czyli to on jest tym Nashem!

- Tak, on. Jakoś dają sobie radę - stwierdził dziadek, w tym momencie do przesady skromny. - Jake'owi bardzo smakowało twoje ciasto - dodał po chwili.

- Och, naprawdę?

- Powiedział, że jeśli chociaż w połowie jesteś tak dobrą asystentką jak kucharką, to jak tylko pojawisz się na rynku asystentek, natychmiast cię złowi.

Och, nie! Tylko nie to! Taryn szybko zmieniła temat.

- Pomyślałam sobie, że na obiad zrobię sałatkę z kurczaka.

- Coś podobnego do tej pysznej sałatki ziemniaczanej, którą kiedyś zrobiłaś?

I jak tu nie kochać tego cudownego starszego pana?

Na szczęście, znów tylko on był jedynym towarzyszem Taryn i wrócił błogi spokój.

Niestety, tylko do środy.

W środę pan Compton i Taryn zjedli pospołu lunch, po czym starszy pan udał się na swoje krótkie, jak sam to nazywał, „chrap, chrap”, a Taryn w kuchni zajęła się przygotowaniem warzyw na sałatkę. Wtedy to właśnie świat znów się zawalił.

Do kuchni wkroczył Jake Nash.

- A gdzie... gdzie pański samochód? - wyjąkała zaskoczona Taryn, wyciągając szyję, żeby ogarnąć wzrokiem półkolisty podjazd. Idealnie pusty.

- Został przy drodze. Przyszedłem tu na piechotę. Nie chciałem robić zamieszania.

Czyli przerywać wujowi drzemki? A co on raptem zrobił się taki delikatny? Niestety, dawne uczucie antypatii wróciło ze zdwojoną siłą.

- Rozumiem. Chciał pan po cichu sprawdzić, czy nie uciekłam, wynosząc przy okazji rodowe srebra?

Szafirowe oczy ciskały szafirowe błyskawice. W odpowiedzi jednak obdarzona została uśmiechem. Tak uroczym, że omal nie zapomniała, jak bardzo nie lubi Jake'a Nasha.

- Myślę, że nie ma powodu do kłótni, panno Webster - powiedział, wyciągając do niej rękę.

- Czy pan czegoś ode mnie chce?

- Oboje czegoś chcemy, panno Webster.

- My?!

- Tak. Czy mogłaby pani zrobić mi herbaty?

- Bardzo proszę. Nastawiła wodę.

- Mam nadzieję, że napije się pani ze mną - dodał, kiedy zauważył, że wyjęła tylko jedną filiżankę i jeden spodeczek.

A co to w końcu szkodzi? Wyjęła drugą filiżankę i drugi spodeczek.

- Może ciasta? - zaproponowała, jakby nigdy nic. Choć Jake na pewno się domyślał, że wuj powtórzył jego komplementy.

- A, słyszała pani?

Kąciki ust Taryn drgnęły od powstrzymywanego śmiechu. Zauważyła, że szare oczy zaiskrzyły się. Czyli proszę, szanowny wnuczek ma jednak poczucie humoru.

Ukroiła mu, oczywiście, duży kawał ciasta. Zaprosiła do stołu. Kiedy usiedli, odezwała się trochę prowokującym tonem.

- A więc... jeśli linia telefoniczna do Nowego Jorku nie jest już przeciążona, to z czym zamierza pan tym razem wystąpić? Powiedział pan, że czegoś chce. I ja też. Oboje czegoś chcemy. Czy to oznacza, że między naszymi chęciami istnieje jakiś związek?

- Jest pani bardzo bystra.

- Wiem tylko, że potrafię upiec przyzwoite ciasto i zdarza mi się czasami pomyśleć jasno. Czy mogę się dowiedzieć, o co chodzi?

- Pani wkrótce stąd wyjeżdża?

- Zgadza się. Pani Ellington ostatecznie wraca w końcu przyszłego tygodnia.

- I pani będzie szukać pracy?

- Owszem... O, nie! Chyba nie zamierza mi pan zaproponować pracy gosposi?!

- Pod tym względem moje potrzeby są całkowicie zaspokojone.

- Rozumiem. Dobra żona...

- Nie jestem żonaty. Mieszkam sam. Ktoś przychodzi, sprząta, gotuje mi i tak dalej. Proszę mi powiedzieć, czy pani po odejściu od mojego wuja zamierza dalej pracować jako gospodyni?

- Nie. To było chwilowe zajęcie, chciałam trochę odpocząć od pracy asystentki. Ale teraz wracam do swojego zawodu.

- Do Mellor Engineering?

- Nie - odparła chłodno. - I, uprzedzając pańskie następne pytanie, wyjaśniam, że wcale nie zostałam zwolniona w trybie natychmiastowym.

- Ale odeszła pani w trybie natychmiastowym. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego?

- Nie.

- Coś nie wyszło? Przestała pani wierzyć w siebie? Jakieś małe załamanie?

- Nie! Żadne załamanie! Ani małe, ani duże!

Szybko policzyła w duchu do dziesięciu. Pomogło. I przystąpiła do udzielania wyjaśnień.

- Byłam wtedy trochę podminowana, owszem, ale to nie ma nic do rzeczy. Teraz będę szukać nowej pracy, takiej, jaką lubię. Ciekawej, w której można się wykazać.

- Chce pani robić karierę zawodową?

- Oczywiście. Jest to dla mnie priorytetem.

- Innych nie ma?

- Są. Teraz, na przykład, znalezienie sobie nowego mieszkania.

- Gdzie pani mieszka?

- W Londynie.

- Z rodzicami?

- Moi rodzice się rozwiedli.

- Mieszka pani z matką?

- Nie! Przepraszam, czy pana pytania nigdy się nie skończą? Nie, nie mieszkam z matką! Moja matka wyjechała do Afryki. Mieszkam z ojcem i macochą.

- Rozumiem. Coś mi się wydaje, że pani macocha jest z gatunku złych macoch.

Z trudem powstrzymała uśmiech. No i bądź tu mądry, człowieku! Ten cały Jake Nash potrafi i rozśmieszyć, i doprowadzić do białej gorączki.

- Ten drugi problem musi pani rozwiązać sama. Natomiast, jeśli chodzi o problem pierwszy, prawdopodobnie będę w stanie pani pomóc.

Spokojnie, Taryn. Usystematyzuj to sobie. On odnosi się do twoich priorytetów. Drugi to mieszkanie. A pierwszy - praca.

- Przepraszam, czy w Nash Corporation są jakieś wakaty? - spytała.  
Ostrożnie, chociaż tak na zdrowy rozum nic innego nie mógł mieć na myśli.

- Zdarzają się, od czasu do czasu. Jednakże wakaty sekretarek staramy się zapełniać osobami z naszego personelu. Nie zawsze jednak to się udaje. Proszę mi powiedzieć, jak długo pracowała pani w Mellor Engineering?

Niepojęte! On zwyczajnie przeprowadzał z nią interview! Prezes wielkiej korporacji, która na pewno ma sprawnie działający dział kadr!

- Pięć lat.

- Czy to, jak dotychczas, jedyna pani praca?

Oprócz epizodu z kelnerowaniem Taryn raczej rzadko wykonywała jakieś dorywcze prace dla klientów ciotki.

- Zanim ukończyłam osiemnaście lat, zrobiłam kurs biznesu i kurs dla sekretarek. Zaraz potem zaczęłam pracować w Mellor Engineering.

- Jako asystentka?

- Nie od razu. Teorię znałam, brakowało praktyki. Po trzech latach awansowałam na osobistą asystentkę Briana Mellora.

Była zaskoczona, że nazwisko Briana wymówiła bez zająknięcia.

- Pracowała pani dla samego Briana Mellora? Jestem pod wrażeniem. Czyli musi być pani naprawdę dobra.

- Niech pan posłucha, panie Nash! Jeśli ma to być interview, może pan łaskawie powie, o jaką pracę właściwie chodzi.

Wyraz twarzy Jake'a nie uległ żadnej zmianie. Czyli nawet jeśli jej arogancki ton nie przypadł mu do gustu, ukrył to wyjątkowo starannie i przystąpił do udzielania konkretnych informacji.

- Jest u nas wolne miejsce asystentki. Z tym że jest to praca na czas określony.

- Niestety, nie jestem zainteresowana pracą tymczasową.

- Ta chyba jednak panią zainteresuje. W swojej poprzedniej pracy zdobyła pani sporo doświadczenia, w tej pracy będzie pani miała możliwość dalszego rozwoju. Jako moja asystentka...

- Pańska asystentka?!

Krzyknęła. Niegłośno, ale jednak. Ona miałaby być jego asystentką? Jego osobistą asystentką?! Nigdy w życiu.

Chociaż... Zaraz, Taryn, oprzytomnij. W końcu to nie tylko wnuczek pana Comptona, ale i Jake Nash. Prezes potężnej korporacji, z którą Mellor Engineering nie ma co się równać.

- Sprawa jest dość skomplikowana - ciągnął prezes Nash. - Mam już asystentkę, świetną. Kate Lambert pracuje u mnie od siedmiu lat, ale teraz spodziewa się dziecka.

- A, teraz wszystko jasne! Chce pan kogoś, kto ją zastąpi, kiedy będzie na urlopie macierzyńskim.

- Nie. Potrzebny jest ktoś od zaraz. Kate nie czuje się dobrze. Bardzo się stara, pracuje bez zarzutu, ale widzę, ile to ją kosztuje. Momentami jest całkiem wykończona. Oczywiście, chce pracować teraz jak najdłużej, żeby potem mieć jak najdłuższy urlop macierzyński. Kate zaklina się, że po urlopie macierzyńskim wróci do pracy. Byłbym z tego bardzo zadowolony, choć nie jestem pewien, czy tak się stanie.

Wszystko to razem miało ręce i nogi. I zabrzmiało nawet... obiecująco. Nagle Taryn ze zdziwieniem uzmysłowiła sobie, że ta praca zaczyna ją naprawdę interesować, mimo że oznaczała współpracę z człowiekiem, którego zdecydowanie nie darzyła sympatią. Wspaniała, prężna firma, możliwość zdobycia nowego doświadczenia. Bardzo to się wszystko przyda, kiedy potem będzie szukała nowej pracy.

- Od kiedy miałabym zacząć? - spytała.

- Cierpliwości. Jeszcze nie zaoferowałem pani tej pracy. Taryn, czerwona jak burak, opuściła głowę. Chyba nigdy dotąd nie czuła się tak potwornie głupio.

- Przepraszam. Sądziłam, że pan...

- To ja przepraszam, panno Webster. Zatrudnieniem zajmuje się u nas oczywiście dział kadr, ale tym razem nie chciałem ich w to włączać. Chcę załatwić to wyjątkowo dyskretnie, ze względu na Kate. Kate, zanim zaszła w ciążę, miała z tym bardzo poważne problemy. Była pewna, że nigdy nie urodzi dziecka. Nic dziwnego, że teraz dmucha na zimne. Wolałbym zatem przyjąć osobę z zewnątrz, a nie robić jakiegoś przetasowania wśród naszego personelu.

- A czy Kate nie poczuje się urażona, że pan zatrudnia kogoś, żeby ją odciążyć?

- Mam nadzieję, że nie. To bardzo rozsądna dziewczyna. A co do pani... Wspominała pani, że chciałyby wrócić do zawodu. Pomyślałem, że mogłaby pani spróbować u mnie. Kate pokazałaby pani wszystko, oceniła, czy pani się nadaje i wtedy...

- Wtedy pan podejmie ostateczną decyzję?

- Tak. Proszę się nad tym zastanowić. Zadzwoń do pani na początku przyszłego tygodnia...

- Jake! - w progu pojawił się pan Compton. - Nie słyszałem twojego samochodu, chłopcze! I nie widzę go!

- Chciałem trochę rozprostować nogi, wuju. Zostawiłem auto przy drodze i przyszedłem na piechotę.

Taryn wstała i dołała wody do czajnika, zakładając, że pan Compton poprosi teraz o herbatę. Ale nie. Starszy pan poprzestał na miłym uśmiechu, po czym razem z wnukiem znikł w głębi domu.

Taryn została w kuchni. Sam na sam ze swoim dylematem. Czy chce pracować u Jake'a Nasha? Niestety, nie udało jej się podjąć decyzji ani tego



dnia, ani przez kilka następnych. Głównym argumentem na „nie” był oczywiście brak sympatii do Jake'a Nasha. Z drugiej strony, czy to naprawdę aż tak istotne? Swego poprzedniego szefa nie tylko lubiła. Zakochała się w nim i w rezultacie z tego to właśnie powodu odeszła z pracy. W przypadku Jake'a Nasha podobna sytuacja w ogóle nie wchodzi w grę.

W poniedziałek zadzwoniła pani Ellington. Obiecała wrócić w czwartek rano, Taryn mogła zatem wyjechać w czwartek po południu. Taryn nie miała nic przeciwko temu. Pan Osgood Compton był słodki i kochany, ale miała już powyżej uszu pichcenia i sprzątanania. Chciała wrócić do pracy, w którą można zaangażować się całym sercem. Zaspokoić swoje ambicje zawodowe...

No, z tymi ambicjami chyba przesadziła. W końcu to praca tymczasowa, w tandemie z nieocenioną asystentką szefa. Kiedy jednak pomyślała, ile przy okazji zdobędzie doświadczenia...

Oczywiście, zastanawiała się dalej jeszcze w środę, kiedy sprzątała kuchnię na błysk, żeby pani Ellington nie musiała zaraz po powrocie zakasować rękawów i brać się do roboty. W trakcie sprzątanania doszła do wniosku, że kwestia braku sympatii do szefa nie jest problemem. Jake Nash na pewno wyczuł, że ona nie jest nim zachwycona, a mimo to złożył jej ofertę. Czyli jemu jest wszystko jedno, czy ktoś pała do niego sympatią, czy nie. Ważne, żeby ten ktoś pracował porządnie i nie wyłączał komputera punktualnie o piątej.

Jeśli tak, to trafił pod właściwy adres. Taryn Webster nigdy nie należała do pracowników spoglądających bez przerwy na zegarek.

Teraz spoglądała. Bo czas mijał, a Jake Nash nie zadzwonił. Obiecał, że skontaktuje się z nią na początku tygodnia, niestety, słowa nie dotrzymał. Nic dziwnego, że była coraz bardziej zdenerwowana.

Powoli narastał w niej bunt. Kiedy zadzwoni, ona i tak nie będzie z nim gadać. Podczas obiadu humor trochę jej się poprawił. Ale potem, po obiedzie, kiedy pan Compton poszedł do garażu, Taryn popadła w smętny nastrój.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon.

- Halo?

- Jake Nash. Zastanowiła się pani?

- Zastanowiłam się. Bardzo chciałabym przyjechać do państwa i porozmawiać z Kate Lambert.

- Kiedy ostatecznie wraca gospodyni wuja?

- W czwartek rano.

- Kate czeka na panią w piątek, o wpół do dwunastej.

Koniec. Rozłączył się.

Przez całe dziesięć sekund Taryn czuła się bardziej niż dotknięta. Choć zdawała sobie sprawę, że wyjątkowa lakoniczność pana Nasha na pewno miała jakieś uzasadnienie. Na pewno był bardzo zajęty, może wyrwał się tylko na sekundę z jakiegoś spotkania.

Pani Ellington, zgodnie z obietnicą, przyjechała w czwartek rano. Taryn przygotowała lunch dla pana Comptona i pani Ellington, pożegnała się ze wszystkimi bardzo serdecznie i opuściła ten pełen ciszy i spokoju dom.

- Chwała Bogu, że wróciłaś! - powitała ją macocha, z czego Taryn natychmiast wywnioskowała, że nowa gospośnia nie wytrzymała na placu boju.

Dlatego wołała od razu spytać:

- Co chcecie na obiad?

Następnego dnia rano sprawy domowe zeszyły zdecydowanie na dalszy plan. Taryn miała na głowie inne sprawy, o wiele ważniejsze. Nałożyła granatowy kostiumik z cienkiej wełny. Spódniczka dokładnie do kolan. Jak to dobrze, że natura wyposażyła ją w nogi, które można śmiało pokazać. Długie, zgrabne, o cienkich kostkach.

Kiedy jechała do Nash Corporation, była pełna obaw, ale jednocześnie miała nadzieję, że dostanie tę pracę.

Kate była krótko ostrzyżoną ładną brunetką po trzydziestce. Przywitała się miło i zaproponowała kawę.

- Dziękuję. Napiję się z przyjemnością - odparła Taryn.

- Jake... - zaczęła Kate - to znaczy, pan Nash, powiedział ci już o szczególnych okolicznościach związanych z tym wakatem?

- Tak, powiedział mi. Moje gratulacje.

Tylko tyle. Taryn nie chciała sprawiać wrażenia osoby zbyt wylewnej. Kate uśmiechem podziękowała za gratulacje i przeszła do spraw służbowych. Wypytała Taryn o poprzednią pracę, po czym zaczęła wprowadzać ją w tajniki nowej. W miarę jak mówiła, apetyt Taryn rósł.

Rewelacja. Kiedy Kate pójdzie na urlop macierzyński, Taryn sama będzie prowadziła biuro szefa. A to oznacza kontakty z całym światem, byłaby też obecna przy spotkaniach na szczycie. Poza tym praca świetnie płatna, chociaż na każdego pensa trzeba uczciwie zapracować.

- No i jak? - spytała Kate. - Wchodzisz w to czy...

- Oczywiście, że tak! - wykrzyknęła Taryn z entuzjazmem. - Taką właśnie pracę lubię!

- Jesteś świadoma, że to praca góra na jeden rok?

- Oczywiście. Wiem. Do twojego powrotu z urlopu macierzyńskiego.

- Tak. W takim razie dowiem się, czy pan Nash może cię teraz przyjąć.

Ufff... Pierwsze sito Taryn miała za sobą. Wynik pozytywny. Teraz jeszcze spotkanie z ewentualnym szefem, a to dowód, że sprawy posuwają się w pożądanym kierunku.

Szef stał już w otwartych drzwiach.

- Witam, panno Webster. Zapraszam do siebie.

Taryn z bijącym sercem wstała z krzesła i przeszła do wielkiego, zalanego słońcem gabinetu.

Pierwsze, co zauważyła, to jeszcze jakieś drzwi. Tymi na pewno wychodziło się bezpośrednio na korytarz. A te... może to na przykład drzwi do łazienki pana prezesa? Komplet wypoczynkowy - sofa z trzema siedziskami i dwa fotele - stał w najdalszym rogu pokoju.

Jake Nash wskazał jednak ręką na zwyczajne krzesło ustawione koło jego biurka.

- Proszę, niech pani siada - powiedział i obszedł biurko, żeby zająć miejsce w swoim fotelu. - Jak rozmowa z Kate?

- Bardzo ciekawa - oznajmiła Taryn, spoglądając mu prosto w oczy. Hm... Szare. Całkiem ładne. Zerknęła niżej, na usta. Też niczego sobie...

- Czyli jest pani zainteresowana?

- Tak. Myślę, że poradziłabym sobie z tą pracą.

- Zdaje sobie pani sprawę, że część pracy jest w najwyższym stopniu poufna?

- Z mojego punktu widzenia dyskrecja to jeden z najważniejszych atutów dobrej asystentki.

- Może pani dostarczyć nam jakieś referencje?

- Ja...

Zawahała się. Zdecydowanie nie miała ochoty prosić Briana o referencje.

- Ja... jak dotąd, pracowałam tylko w jednej firmie.

- Z której odeszła pani nagle. Na własną prośbę. Dlaczego? Czy pani współpraca z Mellorem nie układała się dobrze?

- Jak najlepiej!

- W takim razie musiały panią powodować jakieś względy osobiste.

Jakie?

Matko, jaka piła! Nie ustąpi! Chociaż, oczywiście, jego dociekliwość była uzasadniona. Nie miał zamiaru przyjmować do pracy kogoś, kto nagle, kiedy mu coś strzeli do głowy, da nogę.

Naturalnie, nie ma siły, żeby powiedziała mu prawdę.

Nie tylko dlatego, że czułaby się wtedy niełojalna wobec Briana. Nie powie też dlatego, że ten facet o szarych oczach, teraz lodowatych, prawdopodobnie ryknąłby śmiechem. Coś jednak trzeba z siebie wydusić. Tylko co?

- Jeśli już koniecznie musi pan wiedzieć, to ja... ja zakochałam się. W Brianie Mellorze.

Po czym, wiadomo, zrobiła się czerwona jak burak. Ale też i poczuła ulgę, że ma to za sobą.

- A niech to... - Jake Nash aż odchylił się w swoim fotelu, spojrzenie szarych oczu nie było już tak lodowate. - Co na to jego żona?

- Oczywiście, że o niczym nie wie! On zresztą też nie!

Przez kilka długich sekund Jake Nash milczał, tylko przyglądał jej się bardzo uważnie.

- Proszę mi powiedzieć, panno Webster, czy pani zawsze zakochuje się w swoim pracodawcy? Taki ma pani zwyczaj?

Nie mógł sobie darować. A ona wiedziała już, bez cienia wątpliwości, że tej pracy nie dostanie. Wstała.

- Tak, panie Nash.

On też wstał. Mówiła dalej ona:

- Za każdym razem. Chociaż w przypadku pana nie miałabym trudności ze zrobieniem wyjątku!

Wyszło super. W końcu i tak nie miała już nic do stracenia. Zdążyła jednak zrobić w stronę drzwi tylko jeden krok i znieruchomiała. Bo Jake Nash, ku jej największemu zdumieniu, nagle zademonstrował jej dwa rzędy równiutkich białych zębów.

Śmiał się.

- Och, Taryn Webster!

Potrząsnął głową i wyciągnął do niej rękę.

- W poniedziałek. Punktualnie o dziewiątej.

Ręka Taryn ostrożnie wysunęła się do przodu. Czyżby stał się cud?!

- Czyli... dostaję tę pracę?

- Tak. Dostaje pani. Miejmy nadzieję, że żadne z nas nie będzie tego żałować.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

Po miesiącu pracy w Nash Corporation Taryn nagle uświadomiła sobie, że w tym czasie ani razu nie pomyślała o Brianie Mellorze. Ani razu nie zatęskniła. Zdumiewające!

Zdumiewające i jednocześnie dające do myślenia. Przez cały miesiąc Brian Mellor jakby dla niej nie istniał. Czyżby się odkochała?

Dwa lata z okładem nosiła go w sercu. Teraz wszystko wskazuje na to, że jeszcze kilka miesięcy i kompletnie o nim zapomni. Nie dlatego, że kiedy była w biurze, nie miała czasu pomyśleć o czymś innym niż o pracy. Po prostu nie czuła takiej potrzeby.

Zaparkowała samochód i rączym krokiem pomaszerowała do drzwi, od czasu do czasu rzucając w prawo lub w lewo „dzień dobry!” okraszone miłym uśmiechem. Zdążyła poznać już wiele osób, poza tym, kiedy zaczęła pracować w Nash Corporation, Kate oprowadziła ją po wszystkich działach i przedstawiła jako swoją asystentkę. Wszyscy byli dla Taryn bardzo mili. Z wyjątkiem Dianne Farmer, wysokiej, bardzo zadbanej młodej kobiety, która stwierdziła:

- Gdybym wiedziała, że jest wakat, sama chętnie bym tam wskoczyła!

- To tylko praca tymczasowa - wyjaśniła Kate, a potem, kiedy wróciły już do siebie, powiedziała Taryn, że Jake za nic w świecie nie chciałby mieć Dianne blisko siebie. Bo Dianne wcale nie robi tajemnicy, że ma na pana prezesa wielką ochotę.

- Rozumiem... - mruknęła Taryn. - On woli sam zapolować?

- Jasne! I trzeba przyznać, nieźle mu to wychodzi. Ale nigdy nie umówiłby się z kimś z pracy. Takie ma zasady.

Taryn uśmiechnęła się w duchu. Kiedy wypaliła, że w nim na pewno się nie zakocha, była pewna, że jej szanse na tę pracę zmalowały do zera. A tymczasem to właśnie prawdopodobnie przeważało szalę na jej korzyść.

Jake raczej rzadko dyktował coś Taryn. Na ogół wzywał do siebie Kate. Kate mknęła zresztą do jego gabinetu również z innego powodu. Była na etapie mdłości, a ponieważ ukrywała swój stan, Jake przez uprzejmość pozwolił jej korzystać ze swojej łazienki.

Taryn miała zresztą kiedyś przyjemność obejrzeć to pomieszczenie. Jake wtedy gdzieś wyszedł. Kate pognęła do łazienki, a ponieważ jej nieobecność przedłużała się, zaniepokojona Taryn poszła sprawdzić, czy Kate nie potrzebuje pomocy.

Kate, z twarzą szarą jak popiół, zwiślała nad umywalką.

- O, Boziu - wykrzyknęła bardzo słabiutkim głosem - Mama nic mi nie mówiła, że na początku będzie właśnie tak! Co za koszmar!

Taryn wyprowadziła ją do gabinetu.

- Usiądź i odpocznij, Kate. A ja tam posprzątam.

Kate, ledwo żywa i ogromnie wdzięczna, rozsiadła się w fotelu, zaś Taryn wróciła do łazienki. Okazało się, że Kate dała jakoś radę zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Taryn pozostało tylko wygładzenie ręcznika na wieszaku. Wtedy to zauważyła, że w łazience jest też prysznic. A na jednym z licznych kołeczków wisiał wizytowy garnitur. Czyli pan prezes, kiedy pracował do późnego wieczoru, mógł się tutaj odświeżyć, przebrać i prosto z biura pomknąć na jakieś oficjalne spotkanie.

Albo i nieoficjalne. Już po kilku dniach pracy w Nash Corporation Taryn, kiedy odebrała telefon, usłyszała bardzo uwodzicielski damski głos. Zapewne jedna z wielbicielek chciała porozmawiać z panem Nashem.

- Chwileczkę - powiedziała Taryn i zasłoniła ręką słuchawkę, ponieważ przedtem poinstruowano ją, że zanim połączy, ma spytać Kate.

Więc spytała. Szeptem.

- Louise Taylor?

- Ach, to ta nowa. Lepiej najpierw spytaj Jake'a - poradziła Kate.

Taryn połączyła się z Jakiem.

- Dzwoni Louise Taylor. Czy przełączyć?

- Tak. Proszę.

Tyle, jeśli chodzi o szefa. Bo jeśli chodzi o samą pracę, Taryn w ciągu minionego miesiąca nauczyła się bardzo dużo. Dlatego zawsze z wielkim zadowoleniem wkraczała do pokoju, który dzieliła razem z Kate.

Kate jeszcze nie było, natomiast w drzwiach łączących oba pokoje stał szef.

- Dzień dobry, Taryn!

Zauważyła, że otaksował ją uważnym spojrzeniem. Bardzo proszę, nie miała się czego wstydzić. Tego dnia miała na sobie bardzo ładną garsonkę i białą gniecioną bluzkę.

O ile wzrok jej nie mylił, szef spojrzał z aprobatą. Potem poinformował:

- Kate dziś nie przyjdzie. Dzwoniła, że miała paskudny weekend.

Kazałem jej zostać w domu. Dasz sobie sama radę?

Sama?! Ratunku!!!

- Oczywiście.

Potem zaczął się młyn. Zrobić to, zrobić tamto i jeszcze raz to. Kiedy rozmawiała przez telefon, zerknęła na zegarek. Była przekonana, że minęła dopiero godzina, a okazało się, że już kwadrans po dwunastej! Dwadzieścia po pierwszej zrobiła sobie przerwę i zeszła do barku dla personelu. Na coś bardziej konkretnego absolutnie nie miała czasu, kupiła tylko kanapkę. Kiedy wracała, w korytarzu pojawił się jeden z dyrektorów, Robin Cooper, który już wcześniej próbował się z nią umówić.

- Mam dziś szczęście - powiedział, równając z nią krok.

- O, to miło! - mruknęła. - A cóż takiego się wydarzyło?

- Wydarzy. Czuję, że dziś powiesz „tak”.

Taryn roześmiała się. Facet regularnie robił z siebie pajaca.

- Trzeba przyznać, że jesteś wytrwała.

- Czyli co? Umówisz się ze mną?



Taryn, nie przestając się uśmiechać, otworzyła drzwi do sekretariatu.

- Chyba jednak nie masz dziś szczęścia.

- Och, Taryn! - wykrzyknął żałośnie. - Jesteś bez serca!

- Wiem - odpowiedziała ze śmiertelną powagą i weszła do środka, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Kto to był?

To, oczywiście szef.

- Jestem ci potrzebna, Jake?

- Robin Cooper? - spytał.

- Tak. We własnej osobie.

- Jesteś bez serca, bo nie chcesz się dziś z nim umówić?

- Och, tydzień ma przecież aż siedem dni!

- Musi poczekać, bo do ciebie ustawiła się już kolejka?

Kolejka... Też wymyślił! To do niego co i rusz dzwoni jakaś babka!

- No cóż... Czasami muszę zostać w domu, żeby umyć sobie głowę. Zero reakcji. I słusznie. W końcu to nie jego sprawa, co ona robi ze swoim wolnym czasem.

- Chciałem pogadać z tobą o twojej pracy - powiedział.

- Zrobiłam coś nie tak? - spytała.

- Wszystko w porządku, Taryn. Wejdź, proszę.

Taryn ostrożnie usiadła na krześle z boku biurka i wlepiała w szefa swoje wielkie szafirowe oczy.

- Chodzi o Kate - powiedział. - Miała nadzieję, że jej organizm szybko przywyknie do ciąży. Niestety, chyba to jeszcze trochę potrwa...

- Ale Kate pracuje świetnie! Bardzo ciężko! Ona...

- Spokojnie, Taryn. Kate nie potrzebuje adwokata. Widzę, jak się stara i próbuje udawać, że jest w świetnej formie. Powiedz mi, jak sobie dziś radzisz, kiedy jesteś sama?

- Po prostu... jestem bardzo zajęta. Czego zresztą można się było spodziewać. Ale wszystko posuwa się do przodu.

Jake spojrział przelotnie na kanapkę w celofanie, którą nadal trzymała w ręku.

- Nie miałaś czasu zjeść nic konkretnego.

- Nie szkodzi, bardzo lubię kanapki. A taki młyn, jak dziś, też lubię.

- Świetnie. Bo ja podjąłem pewną decyzję. Kate zwykle wysiaduje tu po godzinach, a ja chciałbym, żeby szła do domu o normalnej porze, a czasami nawet wcześniej. Co o tym myślisz?

- Znakomity pomysł - powiedziała skwapliwie Taryn. - Tylko co na to Kate?

- Nie będzie protestować. Wie, że to dla jej dobra i jej dziecka. Ale chodzi też o ciebie, Taryn. Zdajesz sobie sprawę, że będziesz bardziej obciążona?

- Nie ma problemu. Mogę zostawać po godzinach.

- Nie chciałbym rujnować ci bogatego życia towarzyskiego, Taryn.

- Proszę się nie obawiać. Poradzę sobie i z tym.

Wróciła do swojego biurka i wgryzła się w kanapkę. Praca po godzinach? Bardzo proszę. W jej domu jest tak ponuro i nieciekawie, że mogłaby tu przychodzić i w weekendy. Z największą radością.

Uwielbiała tu pracować, uwielbiała pracować dla Jake'a.

Dziwne, prawda? Na początku nie wzbudzał w niej sympatii. Ale po miesiącu przekonała się, że to wspaniały człowiek. Wyjątkowo inteligentny, bystry, o szerokich horyzontach. Mistrz w podejmowaniu trudnych decyzji.

Kate musiała być naprawdę wykończona. Reformę Jake'a zaakceptowała prawie bez oporu i już w piątek wyszła z pracy o trzeciej. Do lekarza. Potem, zgodnie z poleceniem Jake'a, miała tutaj nie wracać.

Jake też gdzieś wyszedł. Taryn na chwilę weszła do jego gabinetu, żeby zabrać dokumenty, które dała mu do podpisu. Zadzwoił telefon. Szybko

przemknęła z powrotem do sekretariatu, do swojego biurka. Usiadła i podsunęła sobie notes. Jedną ręką chwyciła za długopis, drugą za słuchawkę.

- Sekretariat pana Nasha. Dzień dobry!

- W takim razie trafiłem dobrze, bo rozmawiam z moją ukochaną kuzynką!

- Matt! To ty!?

Była zachwycona. Matt, syn ukochanej ciotki Hilary. Starszy od Taryn o dziesięć lat. Pracował w sektorze wydobywczym i nie było go w kraju całe wieki.

- Tak. Matt Kiteley we własnej osobie. Dasz się porwać dziś wieczorem na kolacyjkę? Jesteś wolna czy jakaś świnią sprzątnęła mi ciebie przed nosa?

- Masz na myśli faceta?

- Który okazałby się świnią. Więc jak?

- Jasne, Matt. Bardzo chętnie spotkam się z tobą...

Podczas rozmowy jej wzrok bezwiednie przemykał po otoczeniu. Między innymi przemknął przez otwarte drzwi, w głąb gabinetu szefa. Szef siedział już przy swoim biurku. Niby czymś zajęty, teraz jednak wyraźnie znieruchomiał. I patrzył na nią.

Ze złością.

Niech się wypcha! Nie dalej jak dziesięć minut temu łączyła go z Sophie Austin, która po prostu dyszała do słuchawki! A teraz wścieka się, że ona - po raz pierwszy! - ma rozmowę prywatną. Oczywiście, że przed weekendem jest mnóstwo roboty, ale ona i tak się wyrobi. Niezależnie od swoich zobowiązań towarzyskich!

Patrz sobie, patrz. A ja spokojnie pogadam jeszcze chwilkę.

- Przyjadę po ciebie o siódmej. Odpowiada?

- Cudownie. Musisz koniecznie odwiedzić mojego ojca.

- I straszną panią Webster?

Taryn nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Koniecznie! Miło, że się odezwałeś, Matt. Bardzo się cieszę na nasze spotkanie.

- Ja też, siostrzyczko. Pa!

- Pa!

Kiedy wkraczała do gabinetu szefa, najpierw została przeszyta stalowym spojrzeniem. Potem padły słowa:

- Ten Matt jest już prawie członkiem rodziny!

Może by mu powiedziała, że Matt, jako kuzyn, jest członkiem rodziny od chwili poczęcia. Powiedziałyby, gdyby te jego słowa nie zabrzmiały wręcz agresywnie, a ona nie była rozżalona. Faktem, że haruje dla faceta jak jakaś niewolnica, a on wścieka się o jedną rozmowę prywatną.

Dlatego odpowiedziała tylko króciutkim:

- Tak.

- A czy twój ojciec wie, że ten Matt jest żonaty?!

Nigdy dotąd Taryn nie miała jeszcze takiej ochoty, żeby komuś przyłożyć. Jake, który nie mógł przecież wiedzieć, jaki jest stan cywilny jej kuzyna, sugerował wyraźnie, że ona interesuje się wyłącznie żonatymi facetami.

- Oczywiście - przytaknęła. Zgodnie zresztą z prawdą. - O ile mnie pamięć nie myli, ojciec poznał kiedyś żonę Matta.

Tego wieczoru, kiedy wychodziła z pracy, nie czuła żadnej satysfakcji. Była wściekła na Jake'a Nasha. Kto wie, czy nie uległaby pokusie i nie wykrzyczała mu w twarz, co on może sobie zrobić z tą swoją korporacją. Przeciwnie tak radykalnym posunięciom przemawiał przede wszystkim fakt, że biedna Kate po jej odejściu musiałaby szkolić następną asystentkę. Poza tym była pewna, że Jake Nash po dzisiejszym starciu kombinuje, jak jej się pozbyć. Tym bardziej więc warto tu zostać. Niech się facet jeszcze trochę pomęczycy!

Macocha wcale nie była zadowolona, kiedy Taryn po przyjściu do domu oznajmiła, że zaraz wychodzi, bo przyjeżdża po nią Matt. Ojca natomiast widok

Matta niezwykle ucieszył. Bardzo lubił swojego siostrzeńca. Pogadali chwilę, ojciec zaprosił Matta w niedzielę na lunch. Razem z matką.

A potem musieli już jechać. Matt bał się, że przypadnie im rezerwacja stolika.

- Jak tam sprawy sercowe? - spytał, kiedy siedzieli już w samochodzie.

- Sercowe? Kto ma dzisiaj na to czas?

- Na przykład ty. Nadal usychasz z miłości do tego Mellora?

- Skąd o tym wiesz?!

Była w szoku. Przecież nikomu o tym nawet nie pisnęła. Powiedziała tylko Nashowi.

- Główka pracuje! Matka mówiła, że odeszłaś od niego i absolutnie nie masz zamiaru tam wracać. W pracy radziłaś sobie świetnie, stąd wniosek, że tylko osoba szefa mogła być powodem odejścia. Jak sobie teraz radzisz, skarbie? Bardzo cierpisz?

W ogóle nie cierpi.

- Było, minęło, Matt.

A tak w ogóle... Czy to, co czuła przez dwa lata do Briana Mellora, to naprawdę miłość? Przepadła za nim, ale miłość? Chyba nie.

- A ty? Jak się trzymasz, Matt? - spytała. Z niepokojem, przecież Matt był kompletnie załamany, kiedy w jego małżeństwie zaczęło się psuć.

- Nie widziałem się z Alison. Nadal chcę, żeby do mnie wróciła, ale przez ten czas, kiedy byłem daleko stąd, przemyślałem sobie wszystko i doszedłem do wniosku, że świat na niej się nie kończy. Tak chyba będzie najlepiej.

Wieczór z kuzynem, jak zawsze, był bardzo udany. Gadali o wszystkim i o niczym, żartowali, śmiali się. Nie wiadomo, kiedy minęło kilka godzin. Taryn wróciła do domu w doskonałym nastroju, może dlatego dom wydał jej się jeszcze bardziej ponury, a macocha jeszcze bardziej skwaszona.

Taryn postanowiła jak najszybciej poszukać mieszkania. Niestety, całą sobotę zajęły jej zakupy i sprzątanie, bo w niedzielę spodziewali się gości.

Z ciotką Hilary Taryn jak zwykle przywitała się bardzo serdecznie. Zauważyła, że ciotka targa ze sobą wypchaną teczkę. Macocha powitała ciotkę chłodno, napotykać również na lód, natomiast Matt był radosny i miły dla wszystkich. Panią Webster obsypał komplementami, wychwalając jej umiejętności kulinarne. Eva nawet nie mrugnęła okiem, choć jej udział w przygotowaniu lunchu ograniczył się wyłącznie do obrania ziemniaków.

Po kawie Eva poszła na chwilę odpocząć, Horace Webster zabrał Matta do laboratorium. W salonie zostały tylko ciotka z bratanicą.

- Taryn... - zaczęła ciotka ostrożnie - potrzebuję twojej pomocy...

Taryn uśmiechnęła się.

- Domyślam się, ciociu. Stąd ta teczka, prawda?

- Niestety, tak.

Okazało się, że jeden z klientów ciotki przyniósł jej do przepisania bardzo ważny, nadzwyczaj poufny raport.

- Mam problem, kochanie. Ella, która pisze najlepiej, złapała jakiegoś wirusa. Dałam więc do przepisania innej, ta narobiła tylko bigosu... Jednym słowem...

- Nie ma problemu, ciociu. Przepiszę.

- Naprawdę?! - Hilary rozpromieniła się. - Och, nie wyobrażasz sobie, jaka to dla mnie ulga!

- Drobiazg, ciociu.

Taryn już po cichu układała sobie w duchu plan akcji.

Sądząc po objętości teczki, nie uda się tego zrobić za jednym zamachem. Ale jeśli codziennie wieczorem przepisze kawałek...

- Taryn, ale ja obiecałam, że to będzie gotowe na jutro, zaraz po otwarciu mojego biura.

- Czyli koło dziewiątej?!

- Nienawidzisz mnie, prawda? - spytała smutnym głosem ciotka.

- Kocham cię, ciociu - odparła zgodnie z prawdą siostrzenica, która chyba już powinna włączyć komputer. Niestety, dopóki byli goście, nici z roboty. A ojciec poprosił, żeby zostali jeszcze na herbatę. Później wpadli jego znajomi, których nie widział wieki. Potem trzeba było posprzątać, a na koniec ojciec zaczął przebąkiwać, że tak naprawdę to jest trochę głodny i Taryn musiała zrobić kolację. W rezultacie włączyła komputer, kiedy dosłownie padała z nóg.

Matko święta! Ile tego jest! Tony!

Spać poszła o trzeciej nad ranem. Zimny prysznic pomógł jako tako się dobudzić, ale i tak, wsiadając do samochodu, czuła się podle. Mimo zatłoczonych ulic udało jej się dotrzeć do agencji parę minut przed dziewiątą, jednak z punktualnym przybyciem do Nash Corporation miała pewne problemy. Kate jeszcze nie było. Taryn, siadając za swoim biurkiem, też nie czuła się świeżutka jak poranek. Wcale nie pragnęła nadejścia szefa. Kiedy nadszedł, zmierzył ją bardzo uważnym spojrzeniem.

- Widać, że miałaś udany weekend - stwierdził.

Bez wątpienia uważał, że spotkanie z Mattem przeciągnęło się do dwóch dni. I to ją trochę wkurzyło.

- O tak... - odparła, posyłając mu przy tym promienny uśmiech.

Jake spojrzał prawie ze złością.

- Trzeba przyznać, że szybko zapomniałaś o Brianie!

Gdyby Taryn miała dziś trochę więcej energii, zrobiłaby powtórkę. Wstałaby i opuściła tę firmę na zawsze. Niestety, stać ją było jedynie na szermierkę słowną.

- A kto powiedział, że zapomniałam? - odezwała się podniesionym głosem. Chociaż w duchu przyznała mu rację. Rzeczywiście, w jej przypadku wyrzucenie Briana z pamięci wcale długo nie trwało.

Jake wydał z siebie tylko coś w rodzaju prychnięcia, naładowanego treścią, i poprosił, żeby odnalazła jakieś dokumenty.

Kate zjawiła się około dziesiątej. Wyglądała równie nieciekawie jak Taryn, jej jednak szef okazał pełne zrozumienie. Mało tego, jakby chciał jeszcze dobić Taryn, bez przerwy spoglądał na nią zza swego biurka.

Chyba nawet specjalnie, w ramach zemsty, zostawił drzwi otwarte. W porządku, niech się gapi. Taryn, kiedy po raz piąty nie udało jej się powstrzymać od szerokiego ziewnięcia, postanowiła niczym się już nie przejmować. Co odniosło pożądaną skuteczną, bo w pewnym momencie Jake wstał i zamknął drzwi. Bardzo energicznie.

Tydzień mijał. Jeden z najcięższych, jakie dane było Taryn przeżyć w Nash Corporation. Piątek powitała z zadowoleniem. Dziś piątek, jutro weekend, będzie można nabrać sił przed prawdopodobnie równie zwariowanym poniedziałkiem.

W przerwie na lunch Kate poszła na zakupy. Taryn zeszła do barku i po chwili namysłu zdecydowała się, jak zwykle, tylko na kanapkę.

W drodze powrotnej zauważyła nadchodzącego jednego z dyrektorów, Kentona Harrisa, aktualnie szamocącego się z drugim małżeństwem. W tym stadle działo się nie najlepiej, takie przynajmniej chodziły pogłoski.

- No i jak? Zadowolona z pracy? - spytał, zastępując jej drogę.

- Bardzo - odparła z uśmiechem, próbując dalej podążać przed siebie. Co było niemożliwe, ponieważ Harris zagroził jej drogę.

- To świetnie - powiedział. Pomyślała wtedy, że będzie to wyglądało trochę dziwnie, jeśli teraz zacznie obchodzić go kołem. Dlatego stała i czekała, aż sam usunie jej się z drogi.

- Mam dwa bilety do teatru na jutro - powiedział, serwując jej promienny uśmiech. - Dasz się zaprosić? Byłbym bardzo zadowolony. Moglibyśmy...

- Przepraszam. Ty chyba jesteś żonaty.

- Zamierzam się rozwieść.

- Kiedy już to sfinalizujesz, wtedy możesz spróbować mnie zaprosić.



- Przecież to tylko randka! - oświadczył i uśmiechnął się. Tak serdecznie, że Taryn, której cały ten epizod nagle wydał się po prostu śmieszny, też się uśmiechnęła.

Uśmiechy uśmiechami, najchętniej znalazłaby się już za swoim biurkiem.

Tym bardziej że krótka wymiana zdań nie obyła się bez świadków. Kawalek dalej, dokładnie za plecami Kentona Harrisa, stał Jake Nash. Z miną, która wyrażała dobitnie, że żarciki jego asystentki z jednym z jego dyrektorów wcale nie przypadły mu do gustu.

Jake Nash. Nic nie mogła poradzić, że ten człowiek bardzo często wyzwał w niej najgorsze instynkty. Teraz też.

Jake znikł. Ona na chwilę, żeby trochę się uspokoić, zaszyła się w damskiej toalecie. Wróciła do pokoju. Ledwo zdążyła usiąść za biurkiem, kiedy pojawił się Jake.

- Nie potrafisz się oprzeć? - warknął.

- Słucham?!

- Facet jest żonaty, prawda? A druga sprawa - ja nie płacę za podryw w czasie godzin pracy!

- O ile mi wiadomo, przerwa na lunch to mój czas prywatny! - palnęła, zanim zdążyła się powstrzymać.

Twarz Jake'a stężała.

- Facet jest żonaty! - powtórzył.

- Wiem.

- I co? I nic!? - zagrzemiał. - A coś ty się tak uparła na żonatyh?!

- Wolałabym, żebyś nie wykorzystywał przeciwko mnie czegoś, co powiedziałam ci kiedyś w największym zaufaniu! - krzyknęła.

Robiło się naprawdę gorąco, na szczęście w korytarzu pojawiła się osoba trzecia, czyli Kate obładowana zakupami. Spojrzenie Kate mówiło, że jej intuicja zdecydowanie wyczuwa negatywne wibracje.

- Pomogę ci - powiedziała szybko Taryn i chwyciła za jedną z toreb.  
Uśmiechała się przy tym radośnie. Dla zmyłki, oczywiście.

- Dzięki - powiedziała Kate. - Tyle tego, a wyszłam przecież dosłownie po jeden drobiazg. Przysięgam!

Jake wycofał się do swojego pokoju. Zamknął drzwi. Kliknęły oczywiście o wiele głośniejszy niż zwykle.

O czwartej wyszedł na jakieś spotkanie, jednak zadzwonił, żeby przypomnieć Kate, że punkt piąta ma już jej nie być. Kate miała pewne opory, przecież to piątek, roboty mnóstwo, ale Taryn zapewniła, że da sobie radę. Zresztą nie spieszyło jej się do domu. Jej weekend wcale nie zapowiadał się zachęcająco. Może śmiało tu jeszcze posiedzieć...

Wcale nie. W każdej chwili Jake pewnie wróci z posiedzenia i przystąpi do dalszego maltretowania podwładnej!

Błyskawicznie zrobiła porządek na biurku. Gotowe. Komputer wyłączony, szuflady pozamykane. Chwyciła torebkę i...

I w tym momencie on już tu był.

- Właśnie miałam wyjść - powiedziała, kładąc torebkę na biurku.

Ku jej największemu zdumieniu Jake nie wydał żadnego polecenia służbowego. Powiedział coś innego.

- Powinienem cię przeprosić, Taryn.

Przeprosić?! Świetnie.

- Po tym spotkaniu pogadałem chwilę z Kentonem Harrisem. Zwierzył mi się. Powiedział, że nie może się doczekać, kiedy skończy się ten kołowrót z rozwodem. Powiedział też, że nie chciał się z nim umówić. Dałaś mu do zrozumienia, że byłoby to ewentualnie możliwe, gdy on będzie już wolnym człowiekiem. Przepraszam, Taryn. Wiem, że sprawiłem ci wielką przykrość.

Jego głos był łagodny. Cudownie łagodny. Tak łagodny, że po prostu zaczęła się rozklejać. Kiedy Jake był twardy i nieustępliwy, ona też - do

pewnego stopnia - mogła być twarda i nieustępliwa. Ale kiedy on raptem pokazywał się jej od innej, tej wrażliwej strony - opadały jej ręce.

- Czasami potrafisz dokopać - powiedziała. - I proszę, nie bądź wobec mnie taki łagodny. Doprowadzasz mnie tym do łez.

- Przepraszam, Taryn.

Ostrożnie musnął dłonią jej policzek. Musiał dostrzec, że jej oczy faktycznie lśnią od łez.

- Taryn, proszę, tylko nie płacz!

- Ależ ja nie płaczę, skądże znowu! - zapewniła solennie. Szybko zamruwała powiekami i wlepiła szafirowy wzrok w szare oczy szefa.

Jake nachylił się. Jego usta dotknęły warg Taryn. Taryn, zszokowana, zmieniła się w słup soli. Jake odsunął się gwałtownie.

- O, cholera! Co mi strzeliło do głowy?

Taryn zdarzyło się w życiu kilka naprawdę miłych momentów. Ten akurat był nadzwyczaj miły. Szczerze mówiąc, nie miała nic przeciwko temu delikatnemu pocałunkowi. Śmiało mógł nastąpić jeszcze jeden. Zdawała sobie jednak sprawę, że reakcja Jake'a jest bardzo prawidłowa. Jake jest szefem, właśnie złamał jedną z podstawowych zasad relacji służbowych między pracodawcą a personelem.

Szef nie całuje swoich pracowniczek.

Uśmiechnęła się.

- Wybaczam ci, Jake. Choć reakcja wielu kobiet byłaby całkiem inna. Ale z wyrzutami sumienia musisz poradzić sobie sam.

Chwyliła torebkę i wypadła na korytarz. Roztrzęsiona.

Bo i było czym. Kiedy jej poprzedni szef ją pocałował, wyrwała mu się. Była pewna, że jest w nim zakochana, i bała się, że mu ulegnie.

A teraz? Pocałunek Jake'a nie obudził w niej ochoty do ucieczki. Przeciwnie. Unieruchomił ją, wzbudzając mnóstwo doznań, słodkich, z gatunku odurzających.

Taki jeden delikatny pocałunek...

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

Wracała do domu kompletnie oszołomiona. Dlaczego pocałunek Jake'a - tak naprawdę tylko zetknięcie się warg - wywarł na niej piorunujące wrażenie?

Z Brianem wszystko było takie proste. Bezproblemowe. Oprócz tego ostatniego dnia, oczywiście. W ich codziennych relacjach nie było żadnych zawirowań. Z Jakiem było inaczej. Jedno zawirowanie za drugim. A w chwili, kiedy miała go już naprawdę dość, nagle odsłonił się przed nią. Wtedy omal się nie rozbeczała, a on ją pocałował. Delikatnie. Z czego ona nie powinna wyciągać żadnych wniosków. Kate mówiła przecież, że Jake bardzo wyraźnie oddziela życie zawodowe od prywatnego.

Do poniedziałku zdążyła się jako tako pozbierać. Jake wobec niej był uprzejmy, ale chłodny. Na pewno żałował tego pocałunku. Taryn nie żałowała niczego, chociaż powrót do chłodnych relacji służbowych był jej zdaniem posunięciem bardzo słusznym.

- Proszę, to do podpisu - powiedziała, kładąc przed nim dokument. Nawet nie podniósł głowy znad papierów.

- Dziękuję, zaraz to przejrzę. Aha, zarezerwuj na sobotę stół dla dwóch osób.

Ciekawe, kim jest ta szczęściara?

- W „Almorze”? - spytała. Skinął głową, zadzwoniła więc do „Almory”, jednego z ulubionych lokali Jake'a. Może to i głupie, ale bardzo chciała, żeby nie było szans na wolny stół. W „Almorze” zawsze był tłok. Niestety, wystarczyło powiedzieć „Jake Nash”, by wolny stół natychmiast się znalazł.

Kate wyraźnie łąpało przeziębienie. Trzymała się jakoś, jednak w czwartek wyglądała już tak fatalnie, że Taryn po prostu nie mogła na nią patrzeć. Jake poleciał do Włoch, Taryn postanowiła sama zwolnić koleżankę.

- Kate! Idź do domu i połóż się.

Kate, oczywiście, wcale nie chwyciła od razu za torebkę. Wahala się, ale troska o dziecko przeważała.

- Dobrze, idę. Dasz sobie radę?

- Jasne.

- W razie czego dzwoń.

Po wyjściu Kate Taryn naturalnie miała pełne ręce roboty. Przerwę na lunch zignorowała, mimo to wiedziała doskonale, że trzeba będzie zostać po godzinach.

Gdzieś o wpół do piątej zadzwonił telefon.

- Sekretariat pana Nasha, dzień dobry.

- Dużo roboty? - usłyszała głos, który sprawił, że zadrżała. W głosie szefa pojawiły się wreszcie cieplejsze nutki. Dlatego pozwoliła sobie zażartować:

- Dużo. Staram się uczciwie zapracować na chleb.

- I tak trzymać, panno Webster - odparł, również żartobliwie Jake. -

Możesz poprosić Kate?

- Kate? A... Kate chwilowo tutaj nie ma.

- Źle się poczuła? Nie ma jej w pracy?

- Tak. Jest przeziębiona. Rano przyszła, ale wyglądała na bardzo chorą, dlatego wygoniłam ją do domu.

- Dobrze zrobiłaś. I jak ci idzie? Jakies problemy?

- Zero.

- Świetnie. W takim razie widzimy się w poniedziałek - powiedział i rozłączył się.

Taryn straciła kilka cennych minut na zastanawianiu się, kiedy Jake wróci do kraju. W sobotę miał iść wieczorem do „Almory”. Z kim? Nieważne! Czyli prawdopodobnie przyleci w sobotę porannym samolotem.

Zgodnie z przewidywaniami siedziała w pracy bardzo długo, a kiedy w końcu dotarła do domu, nie minął kwadrans, i pojawił się Matt.

- Taryn, chciałem prosić cię o przysługę.

- Dla ciebie wszystko, braciszku. O co chodzi?

- Dość już mam tych litościwych spojrzeń. Rozumiesz, biedny facet, babka puściła go kantem. Mam firmową imprezę, chcę iść tam z jakąś ładną dziewczyną.

- O! Czyżbym została wybrana? - spytała. Z uśmiechem, choć serce jej się krajało. Matt był taki przystojny, mnóstwo dziewczyn poleciałoby za nim na jedno skinienie. A on wybiera się na imprezę z kuzynką. Czyli jeszcze się nie otrząsnął po małżeńskim krachu. Biedny Matt.

- Tak. Reflektujesz?

- Jasne. Kiedy?

- Niestety, już jutro. Na siódmą.

- A jutro mamy piątek....

Pomyślmy. Jake zjawi się w firmie dopiero w poniedziałek, jak zwykle pierwszy. Czyli w piątek przed wyjściem trzeba zapiąć wszystko na ostatni guzik. Na pewno będzie siedziała długo.

- Nie możesz, Taryn? Jesteś z kimś już umówiona?

- Nie, nie. Chodzi o to, że koleżanka się rozchorowała. Jutro prawdopodobnie będę w biurze sama, a w piątek zawsze jest urwanie głowy. Będę musiała zostać dłużej, może nawet do wpół do szóstej...

- Czyli nie zdążysz przed imprezą wpaść do domu, żeby się wyszykować. W takim razie proponuję, żebyś zabrała ubranie ze sobą i przebrała się w pracy. Co ty na to?

- Czemu nie? To chyba najlepszy pomysł.

- Jeśli na tej imprezce zjawimy się pół godzinki później, nic się nie stanie. Jutro rano odwożę cię do pracy, a potem przyjadę gdzieś tak po szóstej i będę na ciebie czekał. Zgoda?

- Zgoda.

Wszystko poszło zgodnie z planem. W piątek rano Matt przyjechał po Taryn do domu. Po Taryn i sukienkę w pokrowcu. Odwiózł ją do Nash Corporation i odjechał.

Taryn pognęła do biura. Sukienkę oraz torbę z butami, świeżą bielizną i kosmetykami ulokowała w łazience szefa. Jake'a przecież nie było. Kate również nie przyszła, tylko zadzwoniła i nienaturalnie grubym głosem poinformowała, że dzisiaj też nie czuje się lepiej. Spytała, czy w biurze wszystko w porządku.

- Jasne - odparła różnym głosem Taryn. - Panuję nad wszystkim.

W przerwie na lunch tradycyjnie już zbiegła do barku po kanapkę, po czym dalej pracowała. Jak maszyna. Ani chwili spokoju. Na moment wytchnienia między pracą a zabawą mogła liczyć tylko wtedy, kiedy będą jechali na imprezę.

Dokładnie dwadzieścia pięć po szóstej ogarnęła pełnym satysfakcji spojrzeniem wysprzątane biurko i pognęła do łazienki Jake'a. Miała zamiar wziąć tylko swoje rzeczy i pobiec do łazienki dla personelu. Opryskać się trochę wodą, przebrać i lecieć do Matta.

Kiedy jednak weszła do łazienki Jake'a, jej wzrok niestety spoczął na prysznicu.

O nie, pomyślała natychmiast. Dlaczego nie? - pomyślała chwilę potem. Właścicielowi tego prysznic krzywda się nie stanie.

Koniec dyskusji. Taryn, z włosami upiętymi na czubku głowy, stała już w strugach wody. Cudownej, orzeźwiającej. Dzięki wynalazkowi o nazwie prysznic skonana asystentka zaczynała nabierać ochoty do zabawy.

Wiedziała jednak, że ma czas ograniczony. Przecież Matt w samochodzie odlicza minuty. Odświeżona, zadowolona wyszła spod prysznic i nagle...

Tak. O takich sytuacjach ludzie potem opowiadają, że omal nie dostali zawału.

Nie miała na sobie nic. Oprócz palącego rumieńca, którym oblała się od stóp do głów.

- Nie... nie powinieneś był...

Była zbyt zszokowana, żeby wykonać jakikolwiek ruch. Przerażona widokiem Jake'a, który teoretycznie powinien być teraz tysiące kilometrów stąd.

Jake wydawał się zszokowany w tym samym stopniu. Choć spojrzenie, które przemknęło po jej nagim ciele, było pełne aprobaty.

Jake oprzytomniał pierwszy.

- Chyba jednak lepiej chodzić w normalnym ubraniu - zasugerował jedwabnym głosem. - W tak nietypowym stroju jak twój bardzo łatwo się przeziębisz.

Podał jej ręcznik i wyszedł.

Nieważne, że czas mija, a Matt czeka. Taryn potrzebowała kilku minut, żeby się pozbierać.

Jak ona teraz spojrzy mu w twarz? Bo on na pewno czeka w swoim gabinecie. Czeka, aż ona stąd wyjdzie! Tragedia. Skorzystanie z jego łazienki to pestka.

Najgorsze - wiadomo. Zastał ją tam kompletnie gołą, okrytą tylko rumieńcem!

Raz kozie śmierć. Wytarła się, ubrała. W czerwonej sukience bez ramiączek, z bardzo obcisłym stanikiem i szeroką marszczoną spódniczką do kolan. Podmalowała się, uczesała.

Gotowa do wyjścia. W jednym ręku wieszak, na wieszaku kostium, który miała na sobie dziś w pracy. W drugim ręku torba z butami i reszta rzeczy. W sercu iskierka nadziei. Może jednak sobie poszedł. Wpadł do biura na chwilę, teraz zjeżdża już windą na dół...

Głęboki wdech. Przekroczyła próg i zobaczyła, że szczęście jej nie dopisało. Jake siedział za biurkiem, ale oprócz tego nie robił nic. Po prostu



czekał. Taryn czuła, że znów oblewa się rumieńcem, na pewno bardziej czerwonym niż jej sukienka.

Jake wstał. Żeby spojrzeć mu w twarz, musiała zadrzeć głowę. Mimo pantofli na niebotycznych obcasach.

- Ja... ja sama nie wiem, co powiedzieć - wymamrotała.

- Po prostu dziś wieczorem idziesz poimprezować - rzucił oschłym tonem.

- Tak. Nie miałam czasu pojechać do domu, żeby się przebrać.

- Nietrudno zgadnąć.

- To... to ja już pójdę. Matt czeka na mnie na dole.

- A, Matt? Powinienem być zadowolony, że nie zaprosiłaś go na górę, żeby umył ci plecy.

- Pójdę już.

Ruszyła do drzwi. Ku jej zdumieniu Jake ruszył za nią. Ramię w ramię doszli do windy, mało tego, kiedy czekali, wziął od niej kostiumik na wieszaku. I po co? Doskonale poradziłyby sobie bez jego pomocy.

Weszli do windy. Taryn zdecydowana była nie odzywać się ani słowem. Akurat!

- Ręcznik! - prawie wrzasnęła. - Zapomniałam o ręczniku!

- Chyba nie nadażam - mruknął Jake.

- Ręcznik, którym się wycierałam! Miałam go wziąć do prania i zwrócić w poniedziałek!

- Żebym się nie zorientował? - zauważył bardzo inteligentnie. - Nie martw się, sprzątaczką weźmie go jutro do prania.

Winda zjechała na parter, drzwi otwarły się.

- Dobranoc! - rzuciła szybko Taryn, wyciągając rękę po wieszak.

Jake nie odpowiedział. I kostiumiku nie oddał.

W rezultacie znów ramię w ramię przemaszerowali przez hol. Czyli zanoszą się na to, że będzie musiała go przedstawić swojemu kuzynowi.

Jeden z ochroniarzy podskoczył do drzwi i otworzył je przed panem prezesem. Matt na ich widok natychmiast wyskoczył z samochodu.

- Przepraszam, że musiałeś tak długo czekać, Matt.

- Na ciebie zawsze! - powiedział elegancko i cmoknął ją w policzek.

Nie miała wyboru. Musiała dokonać prezentacji.

- Mój szef, Jake Nash. - A potem: - Matthew Kiteley...

Miała zamiar dodać - mój kuzyn, ale kiedy patrzyła, jak mężczyźni podają sobie ręce, po czym Matt odbiera od Jake'a jej kostium, pomyślała: nie. Jake Nash nie powinien wiedzieć, że ona spędza piątkowy wieczór w towarzystwie kuzyna. Dopiero później, kiedy odjeżdżała już z Mattem, przypomniała sobie, że Jake wiedział o co najmniej dwóch facetach, którzy chcieli się z nią umówić.

Wieczór okazał się pełnym sukcesem. Matt przedstawił ją wszystkim, oczywiście nikomu nie wspominając, że Taryn jest jego kuzynką. Bawili się świetnie.

- Dzięki, Taryn - powiedział Matt, kiedy podjeżdżali pod dom. - Dzięki tobie nikt już nie będzie patrzył na mnie ze współczuciem.

Była przekonana, że Matt jest przewrażliwiony. Podczas tej imprezy odniosła wrażenie, że koledzy bardzo go lubią i cenią.

- Na mnie możesz zawsze liczyć, braciszku - powiedziała z uśmiechem i na pożegnanie cmoknęła go w policzek.

W sobotę miała zamiar zająć się na serio poszukiwaniem mieszkania. Niestety, poszukiwania okazały się bezowocne, ponieważ głowę miała zajęta czymś innym. Przed oczami bez przerwy pojawiała się ta straszna, okropna, żenująca scena. Jake Nash widział ją kompletnie gołą, kiedy korzystała z jego prywatnej łazienki. Powinna go za to przeprosić. Jasne. A może już przeprosiła? Za nic nie mogła sobie przypomnieć. W sumie nic dziwnego. W jej pamięci utrwalił się tylko ten okropny moment, kiedy stała przed nim sparaliżowana strachem.

Kiedy w poniedziałek wkraczała do biura, nadal nie bardzo wiedziała, jak załatwić sprawę przeprosin. Na szczęście Kate stawiała się już do pracy, co oznaczało, że czas, jaki będzie musiała spędzić sam na sam z szefem, ulegnie znacznemu skróceniu. Może nawet uda się tego uniknąć.

Niestety. Jake, który prawdopodobnie chciał oszczędzić rekonwalescentkę, wezwał do siebie Taryn.

Do gabinetu Taryn wchodziła z mocnym postanowieniem, że przeprosin nie będzie. Po prostu jest już na to za późno. Ale kiedy usiadła i spojrzała szefowi w twarz, zorientowała się od razu, że on wcale nie przeszedł do porządku dziennego nad tamtym wydarzeniem.

Nie odzywał się, tylko patrzył na nią. Natychmiast poczuła na policzkach znajome ciepło. Jake przez chwilę wydawał się zaabsorbowany wyłącznie tym rumieńcem. Po czym spytał:

- Udał się piątkowy wieczór?

Oczywiście, musiał o to zahaczyć!

Wtedy ona, wbrew swoim postanowieniom, zaczęła się tłumaczyć.

- Ja... ja chciałam przeprosić. Chodzi o ten prysznic...

- Prysznic? Trzeba przyznać... rewelacja. Wiadomo, co miał na myśli.

Znów poczuła na policzkach ogień.

- Nigdy więcej to się nie powtórzy - oświadczyła stanowczym głosem i spojrzała na niego bardzo chłodno, dając do zrozumienia, że ona osobiście uważa rozmowę na ten temat za zakończoną.

Spojrzała znacząco na swój notes. Po czym oprzytomniała. Przecież nie ona tu rządzi. Jake sam zadecyduje, kiedy zacznie dyktować.

- A więc jak to tam jest między tobą a tym Matthew Kiteleyem? - spytał.

- Przepraszam, o co ci chodzi?

- Stało na tym, że żonaty facet, póki się nie rozwiedzie, nie ma u ciebie żadnych szans. A ten Kiteley nosi przecież obrączkę.

- Obrączkę... Owszem, nosi. Woli nie ryzykować. Zawsze może się zdarzyć, że zapomni ją włożyć przed powrotem do domu!

Trafiła. Jake natychmiast przystąpił do dyktowania. Dyktował tak szybko, że jej ręka dosłownie fruwała nad kartką.

Ach, ty gadzie, wściekała się, wpisując wszystko do komputera. Jak bym chciała, żebyś znowu wyjechał! Przynajmniej na kilka dni!

W domu też czekała na nią niespodzianka, na szczęście bardzo miła. Okazało się, że macocha zaangażowała nową gosposię. Pani Ferris wyglądała bardzo groźnie. Ta kobieta na polu bitwy na pewno nie bawiłaby się w żadne branie jeńców.

Macocha trafiła na godnego siebie przeciwnika, a życie Taryn stało się zdecydowanie łatwiejsze. W sobotę przed południem zamiast szykować lunch, mogła spokojnie przeglądać służbowe notatki.

Póki nie zadzwoniła ciotka Hilary.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? - spytała, kiedy przywitały się już czule. - Wiem, że nie musisz zajmować się domem.

- Słyszałaś już o pani Ferris?

- Oczywiście. Przecież to ja ją wynalazłam. Świetna babka. W sam raz dla Evy, za dobra, żeby marnowała się u kogoś innego.

- Ciociu! - Taryn wybuchnęła głośnym śmiechem - Jesteś niepoprawna!

- Mam kłopot, dziecko.

- Mogę pomóc?

- Możesz. Wiem, że jestem trochę bezczelna, ale... Potrzebna jest recepcjonistka do hotelu. Tylko na kilka godzin, trudno znaleźć chętnego. A obiecałam, że stanę na głowie...

W słuchawce zapadła cisza. Bardzo wymowna. Kochana cioteczka! Taryn, oczywiście, też nie paliła się do tego zadania. Miała pracę w pełnym wymiarze godzin, bardzo ciekawą i satysfakcjonującą. Po co brać dorywcze zajęcie?

Poczucie lojalności jednak przeważało.

- Ale ty wiesz, ciociu, że ja o pracy recepcjonistki nie mam bladego pojęcia?

- Żaden problem - odparła ciotka z wyraźną ulgą i przystąpiła do dalszych wyjaśnień. W hotelu „Irwin” wieczorem organizują bankiet. Niestety, personel hotelowy zdziesiątkowany jest przez gripę. Ciotka zatrudniła już kelnerki i pomoc do kuchni. Potrzebują jeszcze kogoś reprezentacyjnego, o dobrych manierach, kto będzie w recepcji.

- Ale co dokładnie mam robić?

- Dawać klucze, wpisywać gości do księgi hotelowej. Chociaż tego wieczoru nie spodziewają się najazdu gości. Oczywiście, oprócz tych, którzy przyjadą na ten bankiet.

Ciotka przekazała jeszcze kilka szczegółów i podała dokładny adres. Taryn nie była specjalnie zachwycona, co zaowocowało wyrzutami sumienia. W końcu ciotka zawsze ją wspierała. I to ona znalazła jej pracę u uroczego Osgoda Comptona, dzięki czemu Taryn wylądowała w Nash Corporation.

Znowu telefon. Taryn podniosła słuchawkę pewna, że ciotce coś się jeszcze przypomniało.

Dzwonił Jake Nash!

- Musisz tu przyjechać - powiedział stanowczym głosem bez żadnych wstępów.

Musisz?!

- Do biura?

- Nie. Do mnie do domu. Nie podoba mi się jeden fragment w tym, co napisałaś. Musimy to razem przejrzeć.

Czy on nigdy nie wypoczywa? Czy on tak zawsze?

Nie, nie zawsze. Wiedziała przecież dobrze, że dziś wieczorem szef idzie do restauracji.

Była pewna, że przepisała wszystko bezbłędnie, sprawdzała przecież dwa razy. Z drugiej strony w pracy zawsze jest młyn i wszystko mogło się zdarzyć. Poza tym przy takich zarobkach powinna być na każde skinienie szefa.

- Ile to zajmie czasu? - spytała.

- Tyle, ile trzeba - padła opryskliwa odpowiedź. - Ale nie musisz zabierać szczoteczki do zębów.

Rozłączyli się, Taryn szybko wystukała numer ciotki. W Hotelu „Irwin” miała być na siódmą, stolik dla Jake'a był zarezerwowany na ósmą.

- Ciociu, może się zdarzyć, że na siódmą się nie wyrobię. Sprawy zawodowe. Na pewno tam pojedę, ale tak na wszelki wypadek...

- Zadzwoń zaraz do dyrektora, pana Buckleya, i uprzedzę go.

Szybko umieściła w samochodzie cały swój rynsztunek. Teczka i służbowy laptop na fotelu z przodu, na tylnym siedzeniu rozłożona czarna prosta spódnica. Na wieszaku dyndała biała gnieciona bluzka. Taryn z mieszanymi uczuciami usadowiła się za kierownicą. Z jednej strony wcale nie chciała jechać do Jake'a. Z drugiej, coś ją tam ciągnęło. Do domu faceta, który stanowczo zbyt często doprowadzał ją do białej gorączki!

Dom Jake'a stał w eleganckiej dzielnicy. Prawie dwadzieścia minut zajęło poszukiwanie miejsca do parkowania. Kiedy zadzwoniła do drzwi, usłyszała w domofonie lakoniczne „wchodź”. Gdy prowadził ją przez długi hol, spytał:

- Napijesz się czegoś?

- Dziękuję. Wolałabym od razu wziąć się do pracy.

- Uprzedziłaś faceta, że możesz się spóźnić?

- Poczekaj - powiedziała, uśmiechając się słodko.

Na co tylko chrząknął. Zaprowadził ją do gabinetu i wzięli się do roboty. Taryn czytała brudnopis, Jake sprawdzał przepisany tekst.

Zbliżali się już do końca, kiedy mruknął:

- O, tutaj...

Pokazał jej miejsce, gdzie minimalna zmiana w sformułowaniu wpływała na znaczenie. Owszem, wpływała, ale prawnicy z firmy, którzy mieli to jeszcze czytać z dziesięć razy, natychmiast by to wyłapali. Po co więc taki alarm?

Naturalnie, nie odezwała się ani słowem. Ona, zwykła płotka, nie miała prawa na nic się skarżyć.

Jake polecił jej natychmiast dokonać poprawek.

- Muszę szykować się do wyjścia - oznajmił, spoglądając na zegarek. - Nie jesteś głodna? Może chcesz sobie zrobić kanapkę...

- Dziękuję. Idę na kolację - odpowiedziała chłodno i też spojrzała na zegarek. Zdaży do wpół do siódmej? Trzeba się naprawdę sprężyć.

- Jak chcesz - powiedział Jake i wyszedł z pokoju.

Dwadzieścia minut. Dokładnie tyle czasu miała na naniesienie poprawek, wydrukowanie, złożenie całego dokumentu.

Gotowe. Położyła papiery w widocznym miejscu, gdzie Jake musiał je zauważyć i w pośpiechu, bez pożegnania opuściła jego dom.

Do hotelu dotarła dwadzieścia po siódmej. Za biurkiem w recepcji stały już dwie osoby. Starsza pani, jak się okazało, pani Buckley, z jakąś dziewczyną.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie - powiedziała ze skrucą Taryn, nie wspominając oczywiście ani słowem, że jest spokrewniona z właścicielką agencji. - Widzę jednak, że państwo poradziliście sobie.

- Myśleliśmy, że pani już nie przyjdzie - wyjaśniła pani Buckley - Ale potrzebna nam jest każda para rąk. Jedna z kelnerek od pani Kiteley nie przyszła. Zaraz... Czy pani pracowała kiedyś jako kelnerka?

Och, ciociu, w co ty mnie wpakowałaś? Taryn nie zdażyła mrugnąć okiem, kiedy prowadzono ją już na zaplecze, gdzie błyskawicznie wystrojono ją w czarną spódniczkę, białą bluzkę i biały fartuszek. Poinstruowano też, co dokładnie ma robić i gdzie jest jej stanowisko w sali bankietowej.

Sala była zatłoczona. Prawdopodobnie głównie biznesmeni. Ze zlustrowaniem sali trzeba było jednak poczekać. Podano pierwsze danie. Potem

kelnerzy i kelnerki ustawili się w wyznaczonych miejscach, żeby spełniać życzenia gości i czekać na sygnał, kiedy zacząć sprzątać ze stołu i podawać drugie danie.

Wtedy spojrzenie Taryn przemknęło po sali.

Tak. To było jak grom z jasnego nieba.

Stała, nieruchomo jak posąg, wlepiając oczy w jednego z gości, którego jedzenie absolutnie nie interesowało. Patrzył na nią. Reakcja ta sama.

Jak grom z jasnego nieba.

To on. Oczywiście, że on, powtarzała oszołomiona jego widokiem. Ten sam człowiek, z którym dwie godziny temu siedziałaś w jego gabinecie.

Kiedy udało jej się w końcu odwrócić wzrok, pomyślała, że najlepiej byłoby teraz po prostu zemdleć. Ale wtedy wzbudziłaby sensację.

Uciekać? Nie. Nie mogła tego zrobić. Ucierpiałoby na tym dobre imię ciotki. Poza tym ludzie, dla których teraz pracowała, byli bardzo sympatyczni. Nie mogła ich zawieść.

Co za szczęście, że nie wyznaczono jej do jego stolika!

Cała roztrzęsiona, pomagała sprzątać ze stolików. Podano kawę, potem trzeba było znowu sprzątać ze stolików.

Była w drodze do kuchni, kiedy tuż koło ucha usłyszała znajomy głos.

- Teraz już wiem, czym zajmuje się moja asystentka podczas weekendów.

Ostrożnie przekręciła głowę.

Odeszła bez słowa. Jake nie poszedł za nią. Wiedziała, że tego nie zrobi. Ale wiedziała też, że na tych kilku słowach się nie skończy.



## ***ROZDZIAŁ PIĄTY***

W poniedziałek Taryn zjawiła się w pracy wyjątkowo wcześniej. Z pełną świadomością, że jej krótki pobyt w Nash Corporation dobiegł końca. Była zła, przecież wcale nie chciała odchodzić. Kochała tę pracę, a jeszcze bardziej kochała pracować dla prezesa firmy, człowieka o porażającej inteligencji i wielu innych zaletach. Wiedziała jednak doskonale, że prezes od swoich podwładnych wymaga stuprocentowej lojalności i nie będzie tolerował pracownika, który dorabia sobie na boku.

Niestety, musiała zwrócić służbowego laptopa i materiały, które wzięła do przepisania w domu. Gdyby nie to, w ogóle by nie przyszła. A skoro musiała, wolała zrobić to bardzo wcześniej, zanim nadejdzie reszta pracowników. Wolała, żeby Jake Nash nie zwalniał jej przy świadkach.

Oczywiście, już siedział za swoim biurkiem, kiedy wchodziła do sekretariatu, ubrana w dwa kawałki wspaniałej niebieskości. Wiedziała, że w tym kolorze jest jej do twarzy.

Piętnaście po ósmej. Powoli odłożyła laptopa na miejsce. Miała wrażenie, jakby całe jej wnętrze należało do kogoś innego. Okropne uczucie. Ale cóż zrobić? Wyprostowała się, wygładziła zakiet i podeszła do drzwi.

Jake akurat coś pisał. Kiedy weszła, uniósł głowę. Ręka, trzymająca długopis, zawisła w powietrzu. Twarz kamienna.

Taryn nie zawracała sobie głowy żadnym przysiadaniem na krześle.

- Wiem, że nie chcesz mnie widzieć. Ale musiałam przyjść, żeby zwrócić te materiały - powiedziała, wskazując na teczkę. - Wszystko przepisałam i...

Przerwał jej krótkim pytaniem.

- Za mało ci płacę?

- Nie chodzi o pieniądze. Poproszono mnie o przysługę.

- Wiem. Co?! - Siadaj!

Odłożył długopis i wskazał ręką na krzesło. Usiadła.

- Ale skąd to wiesz? Jak to możliwe...

- Dyskutujesz ze mną? - rzucił ostro. Taryn uniosła głowę trochę wyżej.

- Nigdy przedtem nie byłam zwolniona. Nie bardzo wiem, jak zachować się w tej sytuacji.

- A kto mówi, że cię zwalniam? - spytał, dalej bardzo opryskliwie. - Bo ja na pewno nie. A o tym, że dorabiasz, wiem od Johna Buckleya. Kiedy w sobotę pochwalilem jego personel, powiedział, że większość to ludzie z doskoku, przysłani przez agencję pani Kiteley.

John Buckley? A, to ten dyrektor hotelu.

- Ciekaw tylko jestem, komu wyświadczasz tę przysługę? - ciągnął Jake. - Pani Kiteley czy jej mężowi? Twojemu kochasiowi?

- Ko... kochasiowi?

- Przecież nim jest, prawda?

Oczywiście, że mogła wyprowadzić go z błędu. Czowała jednak, że ma już tego wszystkiego serdecznie dość. Jake jest wobec niej nieuprzejmy, wręcz napastliwy.

- To nie twoja sprawa - odezwała się podniesionym głosem.

- Moja sprawa, jeśli weekendy spędzasz tak intensywnie, że potem w pracy jesteś półprzytomna i ziewasz przez cały dzień!

Ziewała?! Kiedy? No jasne, ziewała w poniedziałek, kiedy ciotka prosiła o przepisanie raportu jednego z klientów. Pisała prawie do świtu.

- Tamtej nocy spałam bardzo krótko, bo...

- Pikantne szczegóły zachowaj dla siebie!

- Chwileczkę!

O nie, kochany! Taryn, rozzłoszczona, zerwała się na równe nogi.

- Dla informacji, panie Nash! Spałam bardzo krótko, bo prawie całą noc pracowałam. Przepisywałam czyjeś sprawozdanie, było bardzo pilne...

- Podejrzewam, też zleczone przez tę agencję?

- Tak! Czasami robię coś dla tej agencji, ale tylko w sytuacji...  
podbramkowej.

- Rozumiem.

Wyraźnie spuścił z tonu. Prawdopodobnie przypomniał sobie, jak udało się zdobyć dla jego wuja tymczasową gospodynię.

- Siadaj.

Usiadła.

- Poproszono mnie, żebym postąpiła w recepcji u „Irwina”. Ale spóźniłam się...

- Z mojej winy, oczywiście!

- ... i w recepcji stanęła żona dyrektora. A mnie, ponieważ była to sytuacja podbramkowa, poproszono, bym zabawiła się w kelnerkę.

- Rozumiem. Nie życzę sobie, żeby moja osobista asystentka dorabiała sobie wieczorami czy w weekendy. U mnie w pracy musisz być przytomna.

Taryn miała wielką ochotę podyskutować z nim, jednak zrezygnowała. Sprawy jakby zaczynały przybierać inny obrót, a ona... ona tak bardzo chciała mieć tę pracę!

- Bardzo trudno mi będzie odmówić tej agencji.

- Z powodu... zażyłości między tobą a Matthew Kiteleyem?

- Nie. Ze względów rodzinnych.

- Rodzinnych?

- Tak. Pani Kiteley to moja ciotka. Jake wcale nie krył zaskoczenia.

- Pani Kiteley, właścicielka tej agencji, to twoja ciotka? - spytał.

- Tak.

- A Matthew Kiteley...

- Jest jej synem. Moim kuzynem, choć dla mnie zawsze był bardziej jak rodzony brat. Starszy brat. Super.

Jake powoli skinął głową, jednak swego zasobu pytań jeszcze nie wyczerpał.

- Czegoś jednak nie rozumiem. A ta randka tydzień temu? W piątek, kiedy, o ile sobie przypominam, chodziłaś po firmie kompletnie goła?

- Zostałam zaproszona na imprezę firmową. Matt i jego żona są w separacji. Matt wciąż ma nadzieję, że ona do niego wróci, dlatego zaprosił mnie, swoją kuzynkę.

Skończyła i czekała, co na to Jake. Jake odezwał się dopiero po dłuższej chwili. Cichym, łagodnym głosem.

- No i co ja mam z tobą zrobić, Taryn Webster?

- Nie wiem. Ale ja naprawdę wcale nie jestem taka zła!

- Nie? - powtórzył i nagle... nagle wybuchnął śmiechem.

Taryn, kiedy po sekundzie otrząsnęła się ze zdumienia, też zaczęła się śmiać. Oczywiście, tylko w duchu. Jak miło, kiedy szef nie wrzeszczy, tylko się śmieje. Głośno, serdecznie, zaraźliwie.

Miłe dźwięki ucichły. Szef chwycił za długopis.

- Przyjdź za dziesięć minut. Weź notes, będę dyktował.

Wracając do swojego pokoju, omal nie skakała z radości. Zostaję tutaj, zostaję! Poza tym Jake, kiedy dowiedział się o koneksjach rodzinnych, jakoś już nie nalegał, żeby po godzinach nie pomagała ciotce w sytuacjach podbramkowych. Kate czekała na nią z wielką niecierpliwością, pragnąc podzielić się swoją rewelacją.

- Czy wiesz, że już drugi dzień nie muszę latać do łazienki? Może rzeczywiście te mdłości minęły. Trzymaj za mnie kciuki!

Same dobre wiadomości, ale w sumie ten dzień był przede wszystkim... zastanawiający. Z powodu tych dziwnych emocji, jakie odczuwała za każdym razem, gdy Jake przystanął koło jej biurka. Albo inny moment. Weszła do jego gabinetu i podsunęła mu pismo do podpisu. Kiedy patrzyła na ciemną, pochyloną nad pismem głowę, w jej sercu coś drgnęło. Jakaś struna, bardzo czuła...

Wniosek jeden. Tragiczny. Taryn Webster w relacjach z szefem uruchomiła swoje serce. Bardzo trudno było w to uwierzyć, zważywszy na tak liczne przysięgi, że już nigdy, przenigdy nie zakocha się w facecie z pracy.

A jednak stało się.

Tej nocy, po części oczywiście bezsennej, jej głowa pełna była Jake'a. Jej zauroczenie przesympatycznym Brianem było niczym w porównaniu z burzą uczuć, jaką rozpętał Jake Nash. Potrafił doprowadzić ją do szewskiej pasji, jednocześnie umiał rozbawić, a nawet wzruszyć, jak wtedy, kiedy ją przeproszał. Czasami miała ochotę mu przyłożyć, a jednocześnie w obliczu perspektywy odejścia z Nash Corporation wpadała w rozpacz.

Minął kolejny pracowity tydzień. Podczas weekendu Taryn wreszcie zabrała się na serio za szukanie mieszkania. Dwa nawet obejrzała, niestety, żadne z nich nie spełniało jej oczekiwań. Pierwsze było tak małe, że nawet ojciec, zdecydowanie rzadko stąpający po ziemi, na pewno zaczęłby się zastanawiać, dlaczego jego córka wyprowadziła się z dużego domu i zamieszkała w klatce dla królika. Drugie mieszkanie natomiast było większe, ale cena za wynajem horrendalna. Nawet przy wysokich zarobkach Taryn.

W niedzielę rozmawiała przez telefon z Mattem. Żartował, jak zwykle, czuła jednak, że jest w dołku. W końcu wygadał się. Alison wystąpiła o rozwód.

Jednym słowem, nie był to weekend radosny i Taryn w poniedziałek bardzo ochoczo podążała do pracy. Naprawdę cieszyła się dniem, który miała przed sobą.

Kate rozkwitała. Mdłości minęły, brzusek był wyraźnie zaokrąglony. A ponieważ dalej obowiązywała tajemnica, kiedy do sekretariatu wchodził ktoś z zewnątrz, Kate natychmiast siadała za swoim biurkiem.

Tego dnia, upewniwszy się kilkakrotnie, że Taryn naprawdę nie będzie jej potrzebować, wyszła z biura o czwartej. A Taryn, kiedy została sama, nagle opadły bardzo melancholijne myśli. Jaka miła ta Kate. Bardzo będzie jej brakować, kiedy pójdzie na urlop macierzyński.

Po urlopie wróci, a Taryn odejdzie. Wtedy brakować jej już będzie wszystkiego. Będzie tęsknić za pracą w Nash Corporation, za Kate i... za Jakiem.

Jakie to smutne...

Westchnęła i uniosła głowę. Przy jej biurku stał Jake. Patrzył w dół, ona w górę, w szarość jego oczu.

Szarość najwspanialszą, pomyślała, kiedy jej serce rozpoczęło szalony bieg. Niestety, wszystko było jasne. Zakochała się. W Jake'u Nashu, swoim szefie. Och, nie...

- Przepraszam, zamyśliłam się. Jestem ci potrzebna?

Jake najpierw tylko się uśmiechnął. Przysunął sobie krzesło do jej biurka i usiadł. Nie, rozsiadł się wygodnie, jakby miał zamiar z nią pogadać. Czego przedtem nigdy nie robił.

- No i jak? Znalazłaś mieszkanie? - spytał.

O, jak miło, że szef pamięta o problemach pracownika.

- Obejrzałam dwa, ale to jeszcze nie to.

- Rozumiem... A ja rozmawiałem dziś z Kate. Czuje się już o wiele lepiej. Pytałem ją, czy poradziłaby sobie bez twojej pomocy.

Co?!

Taryn czuła, że zaczyna wpadać w panikę. Była pewna, że kryzys, jaki dotknął ich przed tygodniem, minął bezpowrotnie.

- Chcesz się mnie pozbyć?!

- Wręcz przeciwnie. Chciałem ci tylko zaproponować tygodniowy urlop

- Urlop? Po co? Przepraszam, może to zabrzmiało dziwnie, ale mnie się tu bardzo podoba.

Jake znów się uśmiechnął.

- Miło to usłyszeć, ale ja w pewnym sensie chciałem też zrobić ci przysługę w kwestii mieszkaniowej. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie moja siostra, Suzanne. Ona, jej mąż Stuart i Abby, córka Stuarta z pierwszego

małżeństwa, chcą wyjechać na tydzień. Zrobili już rezerwację. Wyjazd w środę, powrót we wtorek...

Taryn chłonęła każde słowo. Zachwycona, że Jake opowiada jej o swojej rodzinie.

- Niestety, Abby w ostatniej chwili oświadczyła, że nigdzie nie jedzie. A ten wyjazd jest konieczny ze względu na Stuarta. Jest chirurgiem, pracuje jak wół i zdaniem Suzanne, jeśli teraz nie odpocznie chociaż z tydzień, po prostu padnie.

- Ile Abby ma lat?

- Siedemnaście.

- Czyli wszystko jasne. Rodzice boją się zostawić dziewczynę samą.

- Otóż to. Mają już pewne doświadczenia. Jeśli nie znajdą nikogo, kto przypilnuje dziewczyny, z wyjazdu nici. Z tym że nie mają co szukać. Bo Abby podobno oświadczyła już stanowczo, że skoro nie może zostać w domu sama, zamieszka u mnie. Inny wariant nie wchodzi w grę.

- Przedtem zostawała u ciebie?

- Raz. Pół roku temu. Była u mnie przez jedną noc. Wolę tego nie wspominać.

Wydawał się trochę zmieszany. Dziwne... Taryn pomyślała chwilkę i nagle zaskoczyła.

- Panienska zakochała się w tobie? - spytała, nie mogąc powstrzymać się od szerokiego uśmiechu.

- Przestań! - mruknął, wyraźnie coraz bardziej zmieszany, co było rozkoszne. Prezes Nash Corporation atakowany przez siedemnastolatkę!

- Oczywiście, od razu wybiłem jej to z głowy. Ale co przeżyłem, to już tylko moja słodka tajemnica. Suzanne kiedy powiedziałem jej, dlaczego nie bardzo mam ochotę brać Abby do siebie, wpadła w rozpacz. A ja poczułem się jak najgorszy brat, jaki kiedykolwiek narodził się na tej ziemi. Wtedy siostra

wpadła na genialny pomysł. Powiedziała żebym zaprosił na ten tydzień swoją dziewczynę...

Jego dziewczynę?! Taryn natychmiast poczuła dziwny ucisk w dołku.

- ... i problem z głowy. Wtedy ja też wpadłem na pewien pomysł. Wiem, że dorabiasz sobie czasami...

- Ja? Tak, ale... Och, nie!

Taryn aż odchyliła się w swoim krześle.

- Dlaczego, Taryn? Przecież szukasz mieszkania...

- I dlatego uważasz, że w jakimś sensie robisz mi przysługę? Bo przynajmniej przez tydzień będę miała gdzie pomieszkać? Nie, Jake.

Skąd to stanowcze „nie”? Wiadomo, żeby zagłuszyć „tak”. Pewnie, że chciała pomieszkać w jego domu. Być blisko niego, pod jednym dachem.

- Dlaczego po prostu nie odmówisz siostrze? Czasami trzeba to zrobić.

- A ty potrafisz odmówić swojej ciotce?

Fakt. Taryn ulegała ciotce, bo po prostu ją kochała. Jake był w sytuacji identycznej. Kocha siostrę i nie chce jej odmawiać. Dziwne, ale wcale nie wydał jej się z tego powodu mięczakiem. Przeciwnie. To był wielki plus.

- Jake, a jak miałyby to wyglądać dokładniej? Mieszkam u ciebie, ale do pracy chodzę, tak?

- Nie. Ja chodzę do pracy, ty siedzisz z Abby. To bardzo inteligentna, zdolna dziewczyna, czasami tylko strzela jej coś do głowy. Dlatego lepiej nie spuszczać jej z oka.

- I ty uważasz, że wywiążę się z tego zadania? Masz do mnie zaufanie?

- Tak, panno Webster. Pracujemy razem wystarczająco długo, żeby miał okazję się o tym przekonać. Darzę panią bezwzględny zaufaniem.

No proszę. Bezwzględny... Czują już, że topnieje.

- Ale czy Kate poradzi sobie sama? Powinam jej pomóc...

- Rozmawiałem z nią. Spręży się i da radę. W razie czego zleci komuś robotę.



Jednym słowem, Taryn nie miała już żadnego argumentu. Wiedziała, że musi się poddać.

Musi? Perspektywa oglądania szefa w domowych pieleszach była zachwycająca!

- Niech pomyślę... - zaczęła - Kiedy miałabym u ciebie zamieszkać? Oni wyjeżdżają w środę? W tę środę?

- Tak. Rano. Byłoby dobrze, gdybyś zjawiała się u mnie już jutro wieczorem. Będiesz miała czas rozejrzeć się, zadomowić się trochę. Masz przecież udawać moją dziewczynę.

Jego dziewczynę. A to jakoś najtrudniej było przelknąć.

- Przez cały ty... tydzień? - wyjąkała, wbijając w niego wzrok.

- Tak. Obiecuję, że co wieczór wrócę do domu na kolację. Będę poświęcał ci wiele uwagi...

- Wystarczy! Nie ma potrzeby iść od razu na całość!

Palnęła głupstwo, ale nic nie szkodzi. On się roześmiał, ona również.

Kochała, jak się śmiał. Głośno, zaraźliwie.

Po prostu go kochała. Ta miłość stała się już faktem dokonanym. Miłość do człowieka, który na początku absolutnie jej się nie spodobał. Po raz pierwszy było to uczucie gorące, wszechogarniające, monumentalne. Oparte na wyłączności. Jake, tylko Jake. Był w jej głowie od chwili, gdy rankiem otwierała oczy, znikał dopiero wtedy, gdy przychodził sen.

Do domu wróciła lekko nieprzytomna i przede wszystkim zajęła się pakowaniem. Macocha, która aktualnie zawarła z panią Ferris rozejm, nie wystąpiła z żadnym komentarzem, kiedy Taryn ogłosiła, że wyjeżdża na tydzień do znajomych.

- Jacy znajomi, Taryn? Z college'u? - dopytywał się ojciec, który nagle przypomniał sobie, że jest ojcem.

Taryn nie potrafiła mu skłamać.

- Będę u Jake'a, tato - powiedziała, zastanawiając się w duchu, czy ojciec pamięta, kto to jest Jake. - Będą tam jeszcze inne osoby.

- Tłumy ludzi? Bardzo dobrze. Baw się dobrze, córeczko!

We wtorek rano Taryn wchodziła do sekretariatu cała spięta. O ile dobrze zrozumiała, dziś wieczorem w domu Jake'a będzie tylko ona i Jake. Dlatego, chociaż kochała Jake'a nad życie, zaczęła się zastanawiać, czy to, co robi, jest mądre i rozsądne. Z Jakiem widywała się codziennie, ale praca to praca. Bardzo łatwo ukryć swoje uczucia.

Jak to będzie w domu?

Jakoś to będzie, musi dać sobie radę.

Już za dziesięć piąta.

- Widzimy się za tydzień - powiedziała Kate, zabierając się do porządkowania biurka.

- Nie mogę się tego doczekać - odpowiedziała Taryn melancholijnie.

- Nie pękaj! W końcu jedna siedemnastolatka to nie taki problem!

Ona nie. Ktoś inny był dla Taryn wielkim problemem... Ten ktoś otworzył drzwi swojego gabinetu dokładnie kwadrans po piątej.

- Gotowa? Świetnie. Jedziemy. Aha, jeszcze to... Poszperał chwilę w kieszeni i wyjął klucz.

- Dobrze, żebyś miała swój klucz.

Oczywiście, że tak. Przecież nie będą razem z Abby siedziały cały dzień w domu. Na pewno gdzieś wyskoczą.

- Dziękuję - powiedziała.

Musiał wyczuć, jak bardzo jest spięta. Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i dał jej pstryczka w nos.

- Pędź do domu, Taryn!

Wyszła z biura pierwsza, ale Jake i tak dojechał przed nią. Czekał na chodniku. Wyjął walizkę z bagażnika i poinstruował Taryn, gdzie może zaparkować wóz.

- Idziemy na górę - zarządził Jake. - Pokażę ci twój pokój.

Bardzo piękny pokój, wielki, pełen światła. Urządzony może trochę surowo, ale w końcu to dom mężczyzny, Taryn nie spodziewała się pastelowych kolorów i poduszek z falbankami.

- Teraz zostawiam cię samą - powiedział pan domu. - Rozpakuj się. Jak będziesz gotowa, zejź na dół. Pani Vincent przychodzi codziennie na kilka godzin. Dziś obiecała zrobić sałatkę.

Sałatka może poczekać. Taryn bez pośpiechu obejrzała pokój i przylegającą do niego łazienkę. Potem rozpakowała się, postąpiła pod prysznicem i ubrała się, po domowemu. Luźne spodnie i top, włosy, w pracy zawsze upięte, opadły swobodnie na ramiona.

Jake'a zastała w salonie, pochylonego nad wieczorną gazetą.

- Siedź, proszę - powiedziała, kiedy zerwał się z fotela.

Zauważyła, oczywiście, że szybko zlustrował ją spojrzeniem od stóp do głów. Spodobała mu się w tym swobodnym ubraniu czy nie?

Chyba tak...

Serce Taryn śpiewało ze szczęścia. Co on wtedy powiedział? Pędź do domu... Nieprawdopodobne, ale ona już zaczynała czuć się tu jak w domu.

- Może obejrzę kuchnię? - spytała.

- Wędruj sobie, dokąd chcesz - powiedział z uśmiechem.

O siódmej zjedli kolację. Sałatka była pyszna, na deser maliny i lody. Taryn spodziewała się, że rozmowa przy stole dotyczyć będzie wyłącznie spraw służbowych. Tymczasem Jake, kiedy tylko zaczęli jeść, zagadnął:

- Mieszkasz więc z ojcem, macochą i dragonem w spódnicy?

- Tak. Z tym że pani Ferris, kiedy pozna się ją bliżej, nie wydaje się już tak straszna. Szczerze mówiąc, to nawet ją polubiłam.

- Co w odniesieniu do macochy jest zdecydowanie niewykonalne?

Taryn roześmiała się.

- Od biedy i z macochą można jakoś wytrzymać.

- Powiedziałaś ojcu, że zostajesz u mnie cały tydzień?

- Oczywiście. Ojciec myśli, że będą tu tłumy i kazał mi się dobrze bawić.

- Jesteście z sobą blisko? Ty i twój ojciec?

- Kiedy ojciec schodzi z obłoków na ziemię, co zdarza się rzadko, wtedy tak. Kochamy się bardzo. Ale jednocześnie... Mój ojciec jest naukowcem, całe życie prowadził badania. Jego umysł nie przeszedł na emeryturę. Ojciec urządził sobie prywatne laboratorium i nadal przeprowadza doświadczenia.

- Ciekawe... A dlaczego twoja matka wyjechała do Afryki?

- Po prostu spotkała kogoś, kto zauważył, że ona też istnieje.

- Tęsknisz za nią?

- Tak, ale wiem, że mama ze swoim drugim mężem jest bardzo szczęśliwa. Zadowolona z nowego życia... - Czując, że wpada w trochę rzewny nastrój, dodała z uśmiechem: - Poza tym mam ciotkę Hilary. Cudowny człowiek. Kiedy jestem w dołku, zawsze mnie uściska i podniesie na duchu.

Przez moment skupili się na sałatce.

- A często tak się czujesz? - spytał Jake po chwili.

Taryn potrząsnęła przecząco głową, dziwiąc się sobie samej, że tak karnie odpowiada Jake'owi na coraz bardziej osobiste pytania.

- Nie. Teraz nie, ale kiedy rodzice się rozstawali, nie było łatwo. Miałam piętnaście lat. Było mi bardzo żal ojca, zdruzgotanego odejściem matki. I gorączkowo zastanawiałam się, co mogłabym zrobić, żeby skłonić matkę do powrotu. Ciężkie chwile... Na szczęście zawsze mieliśmy oparcie w ciotce Hilary.

Może jednak starczy już tych zwierzeń? - pomyślała i zaczęła zastanawiać się nad bezpieczniejszym tematem. Zanim jednak zdążyła coś wymyślić, Jake wystąpił z kolejnym pytaniem.

- A co tak naprawdę wydarzyło się między tobą a Brianem Mellorem?

Ze zdumienia aż otworzyła usta. Oczywiście, na ten temat nie miała najmniejszego zamiaru udzielać mu wyczerpujących wyjaśnień.

- Mówiłam ci już - powiedziała raczej chłodno.

- Nie - zaprzeczył Jake, wcale niezrażony jej tonem. - Powiedziałaś tylko, że odeszłaś na własną prośbę. Dlaczego? Mówiłaś, że byłaś w nim zakochana. Ale to przecież nie trwało jeden dzień! Musiałaś kochać się w nim już od jakiegoś czasu, a tamtego dnia po prostu coś się wydarzyło, i dlatego odeszłaś. Coś bardzo nieprzyjemnego, bo kiedy weszłaś do windy, prawie płakałaś.

Taryn odłożyła widelec.

- Przepraszam, Jake, ale wydaje mi się, że za bardzo wkraczasz w moje życie osobiste.

- Sama wprowadziłaś mnie w swoje życie osobiste, informując mnie o uczuciu do Briana.

- Powiedziałam ci tylko dlatego, że omal nie doprowadziłeś mnie do ostateczności!

Teraz też była zła. Kiedy on przestanie ją w końcu maglować? Odpowiedziała mu na wiele pytań, chociażby dlatego, że powinien coś o niej wiedzieć, skoro miała udawać jego dziewczynę.

Jednak istnieją pewne granice.

- Mellor na pewno też był w tobie zakochany - oświadczył Jake, ignorując kompletnie jej lodowate spojrzenie,

- Nie. Wcale nie był!

Jezu! Co za facet! Po prostu nóż otwiera się w kieszeni!

- Nie był? O, to ciekawe... Czyli prawdopodobnie dlatego się wściekłaś i odeszłaś.

- Nie! - prawie wrzasnęła. A potem, już nie panując nad sobą, poinformowała go podniesionym głosem: - Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to ci powiem. Tamtego dnia on mnie... pocałował!

Jake spokojnie wytrzymał jej płonącego wzrok.

- Pocałował... Przedtem też to robił?

- Nie!

- Nawet w policzek?

- Nie! Żadnych poufałości! Absolutnie!

Jake lekko wzruszył ramionami.

- Czyli w dniu, w którym cię cmoknął...

- To nie było jakieś tam cmoknięcie!

- A... zabrał się do tego na serio?

- Na serio. Niech ci będzie. To był taki prawdziwy pocałunek.

- Oho... - mruknął. - Jak zareagowałaś? Odpowiedziałaś na pocałunek?

I co robić z takim draniem? Co?! Teoretycznie mogła powiedzieć, co chciała. Niestety, do głosu doszła wrodzona uczciwość.

- Chciałam. Ale nie zrobiłam tego.

- Nie zrobiłaś? Grzeczna dziewczynka. Bałaś się, że jednak kiedyś pęknie, dlatego wolałaś odejść.

Grzeczna dziewczynka? Lepiej nie mógł wymyślić.

- Nie sądzę, żeby on kiedykolwiek zrobił powtórkę.

- Nie? - Sceptycyzm w jego oczach był aż nadto widoczny. - Znasz go aż tak dobrze? Co ty właściwie o nim wiesz?

Co? A to, że chociaż go już nie kochała, nadal wierzyła, że jest dobrym, miłym człowiekiem, żonatym i wcale nie zainteresowanym skokami w bok.

- Wiem tyle, żeby sobie jakoś wytłumaczyć tę sytuację. Musiał przedtem przeżyć jakiś szok. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie bardzo zdaje sobie sprawę, co robi. I z kim. Podejrzewam, że ma problemy małżeńskie. Tego dnia może był w dole, chciał po prostu, żeby ktoś go objął. A tak naprawdę lubi całować się wyłącznie ze swoją żoną.

- Tylko chwilowo nie miał jej przy sobie?

Taryn, nie zwracając uwagi na jego ironię, westchnęła.

- Podejrzewam, że tak to mniej więcej wyglądało.

- Pocałował cię właściwie nieświadomie, a ty, z tym swoim purytańskim serduszkim, nie byłaś pewna, czy możesz ręczyć za siebie. W końcu to

człowiek, w którym byłaś zakochana. Widziałaś tylko jedno rozwiązanie. Zwiąć stamtąd.

Miała dość. Maliny i lody mogła sobie darować. Wstała.

- Skończyłeś już? Posprzątam ze stołu i pozmywam. Jake, jak się okazało, również mało zainteresowany deserem, też wstał.

- Pomóc ci? Czy wolisz nie, bo jesteś na mnie maksymalnie wkurzona?

- Pomóc możesz - wycedziła. Litości, przecież w końcu to jego dom!

Ze zmywaniem nie było problemu. Zrobiła to zmywarka, identyczna jak zmywarka w domu Taryn. Tak więc roboty było na pięć minut.

- Pójdę na górę - oznajmiła Taryn. Jak na jeden wieczór, stanowczo miała dość pogawędek z panem prezesem.

- Masz rację, musisz się tam rozejrzeć - powiedział i poszedł za nią.

Oprowadził ją po piętze, udzielając krótkich, rzeczowych informacji. Pokazał pokój, który miała zająć pasierbica jego siostry, potem kilka innych pokoi, a kiedy podeszli do drzwi jej pokoju, Taryn zatrzymała się.

- Dobranoc, Jake.

- Już? Sądzę, że powinnaś zajrzeć jeszcze do mojego pokoju.

Jego pokoju? Nagle poczuła się po prostu speszona.

- Nie? Chyba powiedziałem wyraźnie, że masz udawać moją dziewczynę?

- Ale nie będę z tobą sypiać!

Niestety, nie po raz pierwszy nie zdążyła ugryźć się w język. Palnęła, a to z kolei spowodowało, że kamienna twarz Jake'a jakby ożyła. Po prostu chyba się z niej śmiał. W duchu.

- Boisz się? - spytał. - A może by ci się spodobało? Przepraszam, czy tu na sali ktoś ma ze sobą pistolet?!

- Posłuchaj no, ty... - wysyczała, ale Jake przerwał jej. Wyraźnie rozbawiony.

- Biedna, mała Taryn Webster... - odezwał się bardzo łagodnym głosem. Oczywiście aluzja, że nie udało jej się dorosnąć do metra sześćdziesięciu. -

Przecież o to wcale nie prosiłem! Obiecuję, że nie zachowam się gorzej niż ci inni faceci.

- Chwileczkę. Nie załapałam.

- Moja intuicja podpowiada mi jeden wniosek, w który trudno uwierzyć. Jesteś przecież ładną dziewczyną. Bardzo ładną. A żadnemu jeszcze facetowi nie udało się przekonać cię, żebyś powiedziała „tak”.

Spojrzała szybko w bok. Oczywiście, wiadomo, o co chodzi. Pan prezes ustalił, że ona jest dziewicą. Chociaż ona na plecach nie ma żadnej etykiety, prawda?!

Otworzyła usta. Do riposty. Naturalnie, marzyła, że do głowy przyjdzie coś dowcipnego i bardzo inteligentnego. Niestety, z ust uleciało tylko leciutko zadyszane zdanko:

- I co z tego? Czego nie miałaś, za tym nie tęsknisz, prawda?

W szarych oczach Jake'a nagle nastąpiła zmiana. Kpiące błyski zgasły, zastąpione powagą. I czymś jeszcze. Chyba... chyba szef po raz pierwszy spojrzał na nią ciepłutko. Przynajmniej w jakimś stopniu.

- Och, Taryn! - powiedział cicho. Niemożliwe! Rozczulony?!

Jeśli tak, to błyskawicznie przywołał siebie do porządku.

- Dobranoc - powiedział normalnym już tonem i usunął się na bok, żeby mogła wejść do swojego pokoju.



## ***ROZDZIAŁ SZÓSTY***

Tej nocy Taryn, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, spała tak dobrze, jak nie zdarzyło jej się od wieków. Obudziła się pełna energii. A pierwszą myślą po obudzeniu było przyznanie Jake'owi racji. Jeśli ta siedemnastolatka, podobno wcale niegłupia, ma uwierzyć, że Taryn i Jake są z sobą bardzo blisko, to Taryn bezwzględnie powinna zapoznać się z jego sypialnią.

Wstała z łóżka i zaczęła nasłuchiwać. Cicho. Spojrzała na zegarek; parę minut po siódmej. Szef, zgodnie ze swoim obyczajem, na pewno już wystartował do biura. Miejmy nadzieję, że wie, o której podrzucą Abby, i wyrwie się z pracy.

Wzięła prysznic, ubrała się. Wyszła na korytarz. W całym domu nadal panowała cisza jak makiem zasiał, co umocniło ją w przekonaniu, że Jake, jeśli nie dotarł już do firmy, to na pewno jest w drodze.

Otworzyła drzwi pokoju Jake'a i śmiało wkroczyła do środka. Pokój był trochę większy niż jej. Umeblowany podobnie, z tym że stało tu jeszcze biurko i oczywiście nieodzowny komputer.

Łóżko nie było posłane. Podeszła i odruchowo wygładziła prześcieradło. Spojrzała na poduszkę, na rozczulający dołek. Tam spoczywała głowa Jake'a. Czy mogła się oprzeć? Wzięła poduszkę i przytuliła do siebie. Tak na chwileczkę, i to było cudowne. Jakby Jake nagle znalazł się blisko niej...

I fakt. Był blisko. Kiedy usłyszała cichy dźwięk, odwróciła się natychmiast, natychmiast też jej policzki oblały się szkarłatnym rumieńcem.

Jake był goły. Wszystko odkryte, wyjąwszy biodra, opasane ręcznikiem.

- Dzień dobry, Taryn - odezwał się głosem całkowicie pozbawionym jakichkolwiek emocji. - Wypałaś się?

W pierwszej chwili nie odpowiedziała, pochłonięta widokiem szerokiej męskiej klatki. Dopiero potem wyjąkała:

- Po... pomyślałam, że może jednak zajrzę do twojego pokoju...

- Słusznie. Ale nie ma potrzeby, żebyś słała moje łóżko - odpowiedział, na pewno w pełni świadomy, że ona czuje się bardzo niezręcznie, kiedy widzi wystające spod ręcznika jego gołe nogi.

- To ja już sobie pójdę - wymamrotała, doskonale zdając sobie sprawę, że aby opuścić ten pokój, musi obejść Jake'a. Zrobiła więc kilka ostrożnych kroków, cichym głosem dodając ostatnią informację: - Byłam pewna, że wyjechałeś do biura.

- Domyślam się - odparł i w idealnej szarości jego oczu zamigotały iskierki. Śmiał się z niej, oczywiście. Poza tym nadal nie ruszał się z miejsca.

- Przepraszam, chciałam wyjść - powiedziała uprzejmie.

- Bardzo proszę - powiedział i ani drgnął.

Czuła coraz większy niepokój. Może bez powodu, może to tylko nerwy. Na dogłębną analizę nie było jednak teraz czasu.

- Jesteś... hm... właściwie rozebrany - bąknęła, starając się przede wszystkim nie wlepić oczu w tę szeroką męską pierś.

- Jestem. Mam nadzieję, że nie czujesz się z tego powodu zażenowana.

Wtedy spojrzała mu prosto w oczy. Przecież on doskonale wiedział, co się z nią teraz działo!

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała na tyle nonszalancko, na ile ją było stać. - Czuję się z tym świetnie!

Szary wzrok przestał się skrzyć od powstrzymanego śmiechu. Jake jakby nagle się zamyślił. Potem ocknął.

- Za pięć minut schodzę na dół - powiedział.

Ona zbiegła na dół jak na skrzydłach. Idiotka! Najpierw trzeba było zajrzeć do łazienki... Do łazienki?! Nieprawda! Byłoby jeszcze gorzej! W łazience mogła go przecież zastać całkowicie w stroju niekompletnym. Nawet bez tego ręcznika!

Pięć minut to stanowczo za mało, żeby po takim przeżyciu dojść do siebie. Na szczęście Jake był na tyle uprzejmy, że pojawił się po dziesięciu minutach. Kompletnie ubrany.

- To się nie uda - zakomunikowała mu natychmiast Taryn.

- Uda się. Po prostu mała wpadka. Teraz wiem, że w pewnych sytuacjach jesteś nadzwyczaj wrażliwa. I takich sytuacji trzeba unikać. Napijemy się herbaty?

Usiedli nad herbatą i tostami. Jake powiedział, że siostra z mężem może zjawić się praktycznie w każdej chwili. Podrzucą Abby w drodze na lotnisko. A pani Vincent, pomoc domowa, przychodzi około dziewiątej

- Dopiero o dziewiątej... - powtórzyła zmartwionym głosem Taryn. - Abby zdziwi się, że nie znam twojej gosposi. Bo ty, jak podejrzewam, jak tylko będzie to możliwe, pojedziesz do firmy?

- Zgadza się. Ale na pewno dasz sobie ze wszystkim radę, Taryn.

Taryn życzyła sobie z całego serca mieć tyle pewności siebie, co on.

Dzwonek do drzwi oznajmił przybycie gości. Jake poszedł otworzyć. Taryn, czekająca w salonie, usłyszała radosny pisk. Czyli pierwsza do domu wbiegła Abby. Potem słychać było szmer rozmowy, zakończony głośniejszą wypowiedzią Jake'a.

- Wejdźcie, proszę, i poznajcie się z Taryn.

Pierwsza w salonie pojawiła się Abby w mundurku współczesnej siedemnastolatki, czyli w dzinsach i topie. Topie bardzo głęboko rozciętym z przodu, żeby było gdzie zagłębić wzrok.

Taryn uśmiechnęła się miło, Abby nie. Do salonu weszli jej rodzice, Jake dokonał prezentacji. Suzanne przywitała się z Taryn bardzo serdecznie, Stuart Braithwaite również.

Taryn spojrzała w jego zmęczone oczy i pomyślała, że temu człowiekowi należy się co najmniej miesiąc odpoczynku.

- Musimy pędzić - powiedział Stuart, po czym podziękował za kawę. - Jechaliśmy tu trochę dłużej, niż myślałem. A te linie lotnicze... Znasz je, prawda? Zanim pilot zwlecze się z łóżka, oni chcą, żeby wszyscy pasażerowie byli już na lotnisku.

Suzanne i Stuart wyszli, Jake podniósł z podłogi walizkę Abby.

- Zaniose ją do twojego pokoju - powiedział.

- Ten sam, co poprzednim razem?

- Nie. Ten pokój zajmuje teraz Taryn.

- Taryn mieszka tutaj?! - spytała Abby bardzo niezadowolonym głosem, spoglądając na Taryn przelotnie. - W takim razie... po co jej osobna sypialnia?

- Bo jedno z nas chrapie - wyjaśnił Jake i ruszył po schodach na górę.

Abby za nim.

Po chwili zeszli na dół, Abby roześmiana, roztrajkotana. Na widok Taryn natychmiast spochmurniała. A Taryn pomyślała, że zapowiada się niezła zabawa. Najchętniej pojechałaby razem z Jakiem do biura.

- Wszystko w porządku, Taryn? - spytał Jake. Zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście!

- Postaram się wrócić wcześniej - mruknął, przysuwając się bliżej. No cóż, prawdopodobnie chciał, żeby wyglądało to na czułe pożegnanie.

Nie myliła się. Sekundę potem objął ją i na ustach poczuła jego usta.

- Ale was wzięło! - skomentowała Abby, kiedy Jake znikł za drzwiami.

Taryn uśmiechnęła się blado.

- No cóż... zdarza się! Co chcesz dzisiaj robić, Abby?

- Najpierw rozpakuję się.

- Świetnie.

Kiedy przyjechała pani Vincent, Abby, na szczęście, była jeszcze na górze. Taryn mogła spokojnie poznać się z gosposią.

- Ma pani jakieś życzenia co do obiadu? - spytała pani Vincent. - Bo jak nie, to mogłabym zrobić mięso zapiekane w cieście. Pan Nash bardzo to lubi.

- Świetnie - odparła Taryn, trochę speszona. Pani Vincent wyraźnie traktowała ją jak panią domu.

Wkrótce na dół zeszła Abby. Przebrała się. Dekolt topu nie był już tak imponujący, poza tym z panią Vincent przywitała się, trzeba przyznać, bardzo grzecznie. Zamieniła z nią kilka słów i posunęła do drzwi.

- Wychodzisz, Abby? - spytała czujnie Taryn.

- Położę trochę po sklepach. Masz ochotę?

Szczerze mówiąc, nie. Ale siedemnastoletniej pannicy lepiej nie puszczać samej na miasto.

- Jasne! Poczekaj, wezmę tylko torebkę.

Niebawem miała okazję się przekonać, że Abigail Braithwaite była swego rodzaju królową zakupów. Sklepy, w których jeszcze jej nie widziano, można było policzyć na palcach. Wybierała, przymierzała, odrzucała. Niezmordowana. Na usilną prośbę Taryn zrobiły krótką przerwę na lunch, po czym kontynuowały rajd po londyńskich sklepach. Tak jak sobie życzyła Abby, ale mimo to po powrocie do domu wcale nie była w stosunku do Taryn choćby odrobinę miłsza.

Taryn nie miała do niej żadnych pretensji. Abby była zakochana w Jake'u do nieprzytomności, Taryn przeżywała dokładnie ten sam rodzaj udręki, spowodowanej przez tę samą osobę.

Zgodnie z obietnicą Jake pojawił się w domu wcześniej, o wpół do siódmej, i od razu rzucił się z czułościami do Taryn.

- Jak tam moja kochana dziewczynka?

- A mnie nie pocałujesz?! - zaprotestowała głośno Abby.

- Oczywiście, że tak! - Jake, starannie unikając wręcz podsuniętych mu ust, pocałował Abby w policzek. - Też jesteś droga memu sercu!

Wystarczyło, żeby siedemnastolatka rozpromieniła się.

Wszyscy przemieścili się do kuchni, żeby spożyć mięso w cieście autorstwa pani Vincent. W trakcie kolacji Abby zdawała relację z wyprawy na zakupy.

- Było świetnie. Szkoda, że Taryn zmusiła mnie do lunchu.

Zmarnowałyśmy tylko czas!

- Aha...

Jake uśmiechnął się, rozmowa zeszła na inny temat, ale ten poprzedni nie został jeszcze zakończony. Po kolacji, kiedy Abby rozmawiała przez telefon ze swoim ojcem, Jake spojrział na Taryn z wyraźną skruchą:

- Winien jestem zaniedbania. Zapomniałem zostawić ci jakieś pieniądze.

- Nie przesadzaj!

- Nie ma powodu, żebyś płaciła za Abby, kiedy jesteście na mieście.

- Przestań. Czuję się głupio.

- Znowu?

Oczywiście, że to grubymi nićmi szyta aluzja do porannego incydentu w jego sypialni. Oczywiście, że mogła wyciągnąć swoją broń i przypomnieć, że jemu też czasami bywa głupio. Kiedy zakochują się w nim siedemnastolatki.

Sprawę załatwiła jednak krótko.

- Och, zamknij się! - krzyknęła. Po czym omal nie padła trupem. Reakcja normalna, jeśli wrzasnęło się, było nie było, na swojego szefa. Na szczęście jej spontaniczność tylko go rozbawiła. Roześmiał się, ona - cudownie rozluźniona - też.

- Z czego się śmiejecie? - spytała Abby, wchodząc do pokoju.

- Po prostu Taryn mnie rozbawiła - powiedział Jake. - Jak tam twój ojciec?

- Zaczyna już odzyskiwać formę. Na szczęście - oznajmiła radosnym głosem dziewczyna, a Taryn pomyślała, że pokręcona czy nie, ta siedemnastolatka na pewno jest do ojca bardzo przywiązana.

Potem Jake zaczął podpytywać Abby, co ma zamiar robić po ukończeniu szkoły.

- Chodzi ci o pracę? - spytała.

- W końcu nie hańbi, prawda?

- No nie. Ale tata namawia mnie, żebym poszła na studia.

- Świetnie. Słyszałem, że egzaminy w szkole zdajesz śpiewająco. A wiesz, że ojciec Taryn jest naukowcem?

- Naprawdę?

Abby po raz pierwszy spojrzała na Taryn z wyraźnym zainteresowaniem.

- Owszem - potwierdziła Taryn. - Jest już na emeryturze, ale w domu urządził sobie laboratorium i nadal eksperymentuje.

- Aha... A ty, Taryn, pracujesz gdzieś?

- Ja... tak, pracuję. Czasami. Moja ciotka prowadzi agencję, załatwia ludziom pracę tymczasową. Czasami coś mi zleci...

- A teraz, tak się dobrze składa, Taryn ma cały tydzień wolny i może dotrzymać ci towarzystwa - dodał dyplomatycznie Jake i wstał. - Przepraszam was, ale mam jeszcze coś pilnego do zrobienia.

Znikł w swoim gabinecie. Abby, wyraźnie preferująca męskie towarzystwo, oznajmiła, że idzie już na górę. Taryn też poszła do siebie. Nie minęła godzina, kiedy leżała już w łóżku. Czytała. Teoretycznie. Miała przed sobą książkę, ale wzrok utkwiony w przestrzeń. Tak to właśnie wyglądało, kiedy drzwi otwarły się i do pokoju wkroczył Jake.

Jej serce natychmiast się rozszalało, kiedy uświadomiła sobie, że jej piżama jest z cieniusieńkiej, prawie przezroczystej bawełny. Ramiona gołe, koszulka od piżamy miała tylko cieniutkie ramiączka.

Szybko odłożyła książkę i podciągnęła kołdrę aż pod brodę.

- Zapomniałeś mi o czymś powiedzieć? - spytała.

Może zabrzmiało to trochę oschle, ale dla niej ta sytuacja naprawdę nie była komfortowa.

- Przyszedłem tylko na chwilę - powiedział Jake, podchodząc do łóżka. - Abby krąży po domu. Wolałbym, żeby wszystko wyglądało naturalnie.

- Chcesz, żeby pomyślała, że my teraz... no, rozumiesz...

- Rozumiem. Tak, chcę, żeby tak pomyślała. A trzeba uważać, bo dziewczyna jest bardzo bystra.

- Rozumiem. Ale... ale to wszystko zaczyna się robić jakieś takie intymne.

- Chyba nie zamierzasz się wycofać?! Taryn wybuchnęła śmiechem.

- O, matko! Ale się przestraszyłeś!

- Ja? Ja niczego się nie boję! Ale rozumiesz, chodzi o moją siostrę. Robię to dla niej.

- Jasne - Taryn ze zrozumieniem pokiwała głową. - Dlatego nie wycofuję się. Choć życie jednak nie jest łatwe.

Żartowała, ale jednocześnie czuła, że zaczyna czuć się raczej dziwnie. Bliskość Jake'a zdecydowanie wpływała na nią destrukcyjnie. Przede wszystkim pojawiały się problemy z oddychaniem, kiedy czuła na sobie spojrzenie Jake'a. Nagle usłyszała jego słowa:

- Jesteś wyjątkowo ładna, Taryn.

- Ja... no tak... Może pójdiesz już? Wydaje mi się, że jesteś tu wystarczająco długo.

- Dobrze. Idę już. Widzę przecież, jaka jesteś spięta. Dobranoc, Taryn.

- Dobranoc.

Po jego wyjściu uświadomiła sobie, że ona, zdeklarowana pracowolizka, nie spytała go, co w firmie, jak tam Kate. Co się dzieje? Cały świat chyba stanął na głowie. Jak dotąd, praca była dla niej wszystkim. No, może prawie wszystkim.

Następnego dnia Jake wieczorem zaprosił obie panie do restauracji. Taryn była wniebowzięta. Jake był taki miły, szarmancki, taki troskliwy. Och, gdyby tak było naprawdę, a nie tylko ze względu na Abby!

Po powrocie do domu zapowiedział, że musi z godzinkę jeszcze popracować. Abby natychmiast powiedziała grzecznie „dobranoc” i poszła na górę. Taryn zamierzała pójść w jej ślady, co odbyło się jednak jakiś czas potem.



Bo przedtem... Przedtem... Tak, to był szok. Przedtem Jake położył jej ręce na ramionach i odwrócił ją twarzą ku sobie.

- Dobranoc, kochanie - powiedział bardzo ciepłutko. Potem przytulił i pocałował.

Żadne muśnięcie, tylko pocałunek gorący i namiętny. Taryn zdawała sobie sprawę, że Jake całuje ją tak ze względu na Abby, która czatowała na pewno na szczycie schodów.

Tym niemniej w głowie zawirowało porządnie.

- Do... dobranoc - wydyszała, kiedy pocałunek dobiegł końca. Nie. Wcale nie dobiegł, bo Jake, nie odrywając od niej oczu, znów pochylił głowę i znów poczuła na ustach jego gorące wargi. Wtedy ona, jakoś tak całkiem odruchowo, objęła go za szyję i na jedną cudowną chwilę zapomniała o Abby. Zapomniała o całym świecie.

Nie wiedziała, które z nich odsunęło się pierwsze.

Miała nadzieję, że ona, choć to wcale nie było takie pewne. Przecież kochała go, była w jego ramionach, czyli tam, gdzie chciała być - dlatego krok w tył wydawał jej się czymś niemożliwym, nienaturalnym. Musiała to jednak zrobić, Jake też się cofnął, opuścił ręce.

W tej sytuacji dobrze by było coś powiedzieć, nawet coś banalnego. Kilka obojętnych słów, za którymi uda się ukryć prawdziwe emocje.

- A nie mówiłam, że to się robi bardzo intymne? - powiedziała, siląc się na uśmiech. Jednocześnie dotarło do niej, że nadal trzyma Jake'a w pasie. - Chyba pozwolę ci już zabrać się do roboty! - dokończyła żartobliwym tonem.

Odwróciła się. W polu widzenia nie było Abby! Nie było jej nigdzie!

Nie oglądając się za siebie, pomaszerowała do swojego pokoju. W głowie zamęt. I rozpacz. Jake pocałował ją - i to jak! - a ona chciała, żeby całował ją bez końca. Tymczasem on całował ją wyłącznie ze względu na Abby, która podglądała ich, na pewno, tylko w pewnym momencie już jej się znudziło.

Pocałunki Jake'a nie znaczą nic. Dla niego. Bo jeśli chodzi o Taryn, to już całkiem inna historia. Zapomniała o zdrowym rozsądku, straciła głowę.

Ranek zastał ją już nieco spokojniejszą. Przede wszystkim w głowie miała wypisaną przestrożę. Wielkimi literami. Pamiętaj! Jake całuje ciebie nie dlatego, że jesteś dla niego ósmym cudem świata. Całuje, bo chce, żeby zadurzona w nim siedemnastolatka zrozumiała, że traci czas.

Kiedy po wzięciu prysznicza wróciła do sypialni, zauważyła kartkę wsuniętą pod drzwi.

„Muszę już lecieć. Wrócę późno. Bawcie się dobrze. J.”

Koło serca zrobiło się cieplej. Napisał tę kartkę... Jaki miły gest... Zaraz jednak pojawiły się wątpliwości. Dlaczego napisał? Mógł śmiało wsadzić głowę w drzwi i wszystko to wykrzyczeć w stronę łazienki.

Czuła, że gdyby nie te wczorajsze pocałunki, na pewno by tak zrobił.

Co było niepokojące. Czyżby wczoraj zdradziła się ze swoimi uczuciami? Odpowiadając na jego pocałunek?

Stop. W tym momencie kategorycznie odmówiła sobie dalszych rozważań na ten temat. Lepiej skoncentrować się na tym, jak przebrnąć przez jeszcze jeden dzień w towarzystwie Abby. Dziewczyna spytała ją, tonem jakby odrobinę cieplejszym niż zwykle.

- Co robimy dzisiaj?

- To, na co masz ochotę - odparła uprzejmie Taryn.

- Chciałabym jeszcze raz obejrzeć tę niebieską sukienkę, którą wczoraj przymierzałam. Potem poszłybyśmy na porządny lunch. Obiad jemy przecież późno.

Niebieska sukienka została kupiona.

- Teraz lunch - zarządziła Abby. - Dokąd zwykle chodzisz na lunch?

Zwykle Taryn kupowała sobie coś w barku w Nash Corporation.

Oczywiście, przekazanie tej informacji byłoby ryzykowne. Na szczęście

zauważyła, że są bardzo niedaleko restauracji, do której wpadała często, kiedy pracowała u Briana Mellora.

- Znam takie jedno bardzo sympatyczne miejsce - powiedziała.

W „New Recruit” niewiele się zmieniło. Jedzenie niezłe, miła fachowa obsługa. Kiedy wychodziły już na ulicę, Taryn usłyszała nagle, jak ktoś woła ją głośno po imieniu. Jakiś mężczyzna, wchodzący właśnie do restauracji.

Zatrzymała się. Abby, oczywiście, też.

- Brian!

Nie widzieli się od tamtego feralnego dnia, kiedy odeszła z pracy. Spotkali się teraz po raz pierwszy, i to w miejscu, w którym Taryn nigdy by się nie spodziewała ujrzeć swego byłego szefa. Brian zwykle zjadał kanapkę, nie wstając od biurka. W domu czekał na niego obiad ugotowany przez Angie.

- Co słyhać, Brianie?

- Brakuje cię! - powiedział. Tego nie komentowała.

- Jak tam Angie?

- Rozwódzimy się.

Szok. Totalny szok. Taryn osłupiała, zapominając kompletnie o obecności Abby, którą wypadaloby przedstawić.

Ale przecież to koniec świata! Brian i Angie? Tak do siebie przywiązani?

- Pracujesz gdzieś? - spytał Brian.

Wtedy natychmiast przypomniała sobie o obecności Abby.

- Czasami. Dorywczo.

- Wróć do mnie, Taryn. Wiem, że zachowałem się wtedy jak dureń.

Bardzo tego żałuję...

Zdecydowała, że ze względu na Abby, na pewno nadstawiającej uszu, koniecznie trzeba zakończyć tę rozmowę.

- Nie ma o czym mówić. Zadzwoń do ciebie. Och, chyba zatarasowaliśmy przejście...

Jakaś para usiłowała wejść do środka. Taryn z ulgą rzuciła szybko „do zobaczenia” i razem z Abby wyszły na ulicę. Po powrocie do domu Abby pognęła na górę, żeby powiesić w szafie nową sukienkę. Około siódmej zrobiły sobie tosty z serem. Jake przyszedł o ósmej. Wyglądał na zmęczonego, tak bardzo zmęczonego, że Taryn, niewiele myśląc, pierwsza podeszła do niego i pocałowała go w usta. Całowała go z miłości, oczywiście, ale mogła sobie na to pozwolić, bo Jake jest przekonany, że ona robi to ze względu na Abby.

Okazało się, że nie jest bardzo zmęczony, bo natychmiast wyciągnął obie ręce i przytulił ją do siebie.

- Jak miło wrócić do domu - powiedział cicho.

No i czy on nie jest kochany? Najcudowniejszy człowiek na świecie!

- Jadłeś coś?

- Tak. Ale wchłonę jeszcze kawę.

- Ja też! Ja też! - włączyła się Abby.

- Udał się dzień? - spytał Jake.

- Tak! Kupiłam sobie sukienkę.

Jake poszedł zanieść teczkę do gabinetu, Taryn zajęła się kawą. Kiedy rozsiedli się już w salonie, Abby postanowiła udowodnić, że ma wspaniałą pamięć.

- A kto to był ten Brian, Taryn?

- Brian? Pracowałam kiedyś u niego.

Jake natychmiast poderwał głowę.

- Brian? - spytał. Tonem wręcz oskarżycielskim.

- Wpadliśmy na niego w restauracji - wyjaśniła spokojnie Taryn.

- Chce, żeby Taryn wróciła do niego do pracy - uzupełniła Abby.

- Naprawdę?

- Tak! - potwierdziła nieoceniona Abby i przekazała jeszcze jedną sensację. - On się rozwodzi!

- Czy to prawda? - spytał Jake ostrym głosem.

- Tak powiedział - poinformowała Taryn.

Jake chrząknął, ale prawdopodobnie nie chcąc okazywać nadmiernego zainteresowania osobą Briana, raptem zmienił temat.

- Abby? Rozmawiałaś dziś ze swoim ojcem?

- Oczywiście. Jak zwykle, przynudzał. Przecież ja śmiało mogłam zostać w domu sama! A oni nadal wściekają się o tamtą imprezkę. Może było trochę głośno, ale czy sąsiedzi musieli od razu dzwonić na policję? - I prosto z marszu zadała pytanie z całkiem innej beczki: - Co robimy jutro, Jake?

- Ja, niestety, muszę jutro lecieć do Włoch.

- Do Włoch?! Mogę lecieć z tobą?

- Niestety, nie. Lecę służbowo.

- Ale jutro jest sobota!

- Wiem. Nie zawsze jednak robimy to, na co mamy ochotę. Wrócę wieczorem i wymyślimy coś ciekawego na niedzielę.

Abby, już czekająca z niecierpliwością na niedzielę, powędrowała do łóżka. Taryn także udała się do swojej sypialni i wcale nie była zdziwiona, kiedy po chwili zjawił się Jake.

- Co tam słyhać u Kate? - spytała lekko i swobodnie, jakby jego wieczorne wizyty stały się dla niej po prostu rytuałem.

- Świetnie. Błogosławiony stan zdecydowanie jej służy. A ty czemu jeszcze nie w łóżku?

- Czekałam na twoją wizytę.

- Nie lubisz, jak tu przychodzę?

- Ależ skąd. Można powiedzieć, że się już przyzwyczyłam.

- Świetnie. A ja chciałem ci przede wszystkim zadać pewne pytanie.

Chyba nie zastanawiasz się nad ofertą Mellora? Czy on chce, żebyś do niego wróciła?

Powiedział to z taką złością, że Taryn trudno było zachować spokój.

- Oczywiście, że chce! - powiedziała bardzo podniesionym głosem. -  
Przecież byłam dobrym pracownikiem!

- Czyli wracasz do niego? Serce Taryn zakołatało w piersi.

- Dajesz mi do zrozumienia, że zamierzasz się mnie pozbyć? - spytała, z nadzieją, że udaje jej się ukryć panikę.

- Gdybym chciał się ciebie pozbyć, powiedziałbym ci wprost. Nie czekałbym, aż się zdenerwujesz i sama podejmiesz jakieś kroki - warknął. A Taryn natychmiast poczuła się odrobinę lepiej. Wojowniczy nastrój zaczął mijać.

- Rozumiem, Jake. W takim razie może mi zdradzisz, co takiego zrobiłam, że jesteś zły?

Jake też wyraźnie się rozluźnił. Nawet się uśmiechnął, co prawda, tylko przelotnie.

- Ty nic. Ale nie lubię, kiedy ktoś mi podkrada cenionych pracowników.

- Cenionych? - mruknęła Taryn, czując, że aż pęka z dumy. - Co ty nie powiesz...

- A poza tym... Podszedł bardzo blisko i pocałował ją. W rękę. - Poza tym ty, Taryn Webster, jesteś pod wieloma względami... nadzwyczajna. Dobranoc! Do jutra!

Uśmiechnął się i wyszedł. A z twarzy Taryn uśmiech nie schodził jeszcze przez dłuższy czas. Uśmiechała się, kiedy słała łóżko, kiedy wsuwała się pod kołdrę. Taryn Webster jest cenionym pracownikiem! Cudnie! Chociaż w sumie i idiotką, jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy. W końcu nie każdego pracownika Jake zabrałby do swojego domu, prawda?

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

Jake wyjechał wczesnym rankiem. Taryn, kiedy słyszała cichy odgłos zamykanych drzwi, miała tylko jedno, jedyne pragnienie. Jechać razem z nim. Do Włoch, dokądkolwiek. Niestety, wcale jej tego nie zaproponował, czyli podczas tego wyjazdu osobista asystentka była mu niepotrzebna.

- Zakupy? - spytała Abby, kiedy spotkały się na dole.

- Mam już dość ganiań po sklepach! - oświadczyła Abby bardzo stanowczo i uśmiechnęła się. Dość rzadkim u niej miłym, szczerym uśmiechem.

- Taryn, czy twój tata mieszka daleko stąd?

- Nie tak daleko - odparła Taryn. W tym momencie bardzo czujna, nigdy przecież nie wiadomo, co siedemnastolatce przyjdzie do głowy.

- Mogłybyśmy do niego pojechać?

- Do mojego ojca? Chcesz go odwiedzić?

- Twój tato jest naukowcem, prawda? A ja czymś takim właśnie się interesuję. Mógłby mi pokazać swoje doświadczenia. Jak myślisz, nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Będzie mu bardzo miło, Abby.

Kilka godzin później Taryn mogła już stwierdzić z przyjemnością, że te kilka pytań, które Abby zdążyła zadać starszemu panu, świadczyło, że jej zainteresowanie jest autentyczne. Byłoby szkoda, gdyby ta dziewczyna nie zdecydowała się na dalszą naukę.

Horace Webster udał się z Abby do laboratorium. Macochy nie było - wypuściła się na jakąś całodniową imprezkę dobroczynną, połączoną z brydżem. Taryn udała się więc do kuchni.

- Pani Ferris, czy nie będzie miała pani nic przeciwko temu, że zrobię kawę? - spytała grzecznie ich straszną gosposię.

- Miło, jak ktoś zapyta! - rzuciła pani Ferris niby opryskliwie, ale uśmiechnęła się.

Taryn zrobiła kawę i dla gosposi. Miała właśnie wziąć tacę, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Otworzę!

I warto było otworzyć. Bo za drzwiami stał ukochany kuzyn.

- Matt!

- Taryn! Miałem nadzieję, że cię tu zastanę. Wybierzemy się gdzieś wieczorem?

- Przykro mi, ale nie mogę.

- Masz ciekawsze propozycje?

- Przede wszystkim inne. Chwilowo mieszkam u... Jake'a. Jest tam też pasierbica jego siostry, Abby. Trochę się nią zajmuję. Przyjechałyśmy do ojca z wizytą. Teraz ojciec pokazuje Abby swoje laboratorium.

- A Jake?

- Nie ma go. Jest we Włoszech.

- Jake Nash, twój szef. To ten Jake?

Zna go? Jasne! Przecież przedstawiła ich sobie, kiedy szła z Mattem na firmową imprezę.

- Tak. To ten. On...

Prawdopodobnie się zarumieniła i Matt od razu wyczuł pismo nosem.

- Czyżbyś znowu wpadła w sercowe tarapaty?

Nie było sensu zaprzeczać. Z Mattem znali się przecież od dziecka.

- Nie da się ukryć, Matt. Stało się. Niestety, wszystko wskazuje na to, że tylko ja... jestem zaangażowana.

- Och, Taryn! - jęknął.

Kto jak kto, ale biedny Matt wiedział aż za dobrze, co to jest nieodwzajemniona miłość.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć, Taryn!

- Może kiedyś... Zrobiłam kawę. Napijesz się?



- Jasne, dzięki. A potem, skoro wieczór masz zajęty, proponuję wspólny lunch. Zgoda?

Abby była zachwycona wszystkim, co pokazał jej Horace Webster. Była również zachwycona, że Matt zabiera wszystkich na lunch. Horace Webster kawy nie odmówił, ale za zaproszenie na lunch podziękował. Nie potrafił na zbyt długo oderwać się od swoich doświadczeń.

Lunch upłynął w wyjątkowo miłej atmosferze. Oczywiście ze względu na obecność Abby rozmowę o kłopotach sercowych cioteczne rodzeństwo odłożyło na później. Poza tym Taryn zauważyła, że Matt wyraźnie spodobał się siedemnastolatce. Czyżby znalazła sobie nowy obiekt marzeń?

Kiedy nadszedł wieczór, Taryn zaczynała odczuwać miłe podekscytowanie na myśl, że Jake może pojawić się w każdej chwili. Niestety, niebawem skoncentrowała się całkowicie na kimś innym. Na Abby, która poszła na chwilę do siebie na górę i wróciła z twarzą szarą jak popiół.

- Właśnie zwróciłam cały lunch - zakomunikowała słabym głosem.

Taryn usadziła ją wygodnie na sofie i przyniosła szklanek wody. W pierwszej chwili pomyślała, że Abby coś zaszkodziło. Ale w końcu podczas tego lunchu wszyscy jedli to samo. Poza tym, Abby, podpytywana ostrożnie, przyznała się, że już rano obudziła się trochę niewyraźna, ale zgodnie z maksymą macochy, czyli Suzanne, starała się pokonać ból.

- A wcale tak nie jest. Czuję się okropnie. Boli mnie tak, że chce mi się płakać! Nakrzycz na mnie, żebym nie ryczała, kiedy Jake wróci, dobrze?

- Wcale nie będzie się śmiał.

- Ale ja nie chcę przy nim płakać! Będę miała zapuchnięte oczy i czerwony nos!

- To może się już położyć? Jeśli zgłodniejesz...

- Nie! Błagam, ani słowa o jedzeniu!

Bystre oko Jake'a po powrocie do domu natychmiast spoczęło na pasierbicy siostry.

- Jak się czujesz, Abby?

- Było kiepsko, ale jest już zdecydowanie lepiej. Nie ma sensu robić zamieszania.

- Jake, napijesz się kawy? - spytała Taryn.

- Dzięki. Z przyjemnością.

Poszła do kuchni, Jake zjawił się tam po kilku minutach.

- Może jesteś głodny? - spytała, spoglądając na niego przez ramię.

Odpowiedź stanowczo była nie na temat.

- Czy ty wiesz, że masz najfantastyczniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem? Szafirowe. Prawie granatowe!

Oczywiście, że kiedy serce bije tak szybko, człowiekowi nic dowcipnego nie przychodzi do głowy. Tylko:

- Może zjesz chociaż tosta?

Znów żadnej odpowiedzi. W ogóle żadnych słów, tylko cudowne powitanie. Jake musnął wargami jej spragnione usta.

Po czym natychmiast się odsunął.

- Przepraszam. Weszło mi to już w nawyk. Ciągle mam wrażenie, że Abby gdzieś czatuje. A propos. Jak ona naprawdę się czuje?

- Myślę, że już lepiej. Nie wolno tylko mówić przy niej o jedzeniu.

- A coście dzisiaj jadły?

- Po prostu porządny lunch.

Taryn opowiedziała mu o wizycie u ojca i o zaproszeniu Matta.

- Twój ojciec naprawdę nie był niezadowolony?

- Był zachwycony, że ktoś się szczerze interesuje tym, co robi. A wasza Abby jest wyjątkowo inteligentna, wielka szkoda, jeśli nie zrobi ze swojej głowy użytku.

- Powiedz jej to! Ojcu jakoś nie udaje się jej przekonać. Może Abby posłucha obcej osoby.

- Oczywiście, porozmawiam z nią.

Następnego dnia rano Abby bardzo długo nie schodziła na dół. Wiadomo było, że lubi pospać dłużej, poza tym w końcu była niedziela. O dziewiątej jednak Taryn, trochę już zaniepokojona, zapukała do jej drzwi.

Abby nie spała. Leżała w łóżku i wcale nie wyglądała lepiej niż poprzedniego dnia.

- Och, Taryn! Cały czas powtarzam sobie, że jestem pasierbicą Suzanne...

- Przyniosę ci śniadanie do łóżka.

- Oj! Tylko nie to!

- Nie jesteś głodna?

- Nie. Poza tym nie chcę być dla was ciężarem, bo nigdy więcej już mnie nie zaprosicie.

- Och, Abby! Przecież każdy ma prawo poczuć się trochę gorzej. Nie wstawaj, a ja przyniosę ci chociaż coś do picia.

Jake, kiedy zauważył Taryn na schodach, wyszedł ze swojego gabinetu i poszedł za nią do kuchni.

- Może pojedziemy gdzieś za miasto? Zjemy lunch wśród lasów, łąk i pól. Jakoś nie okazujesz entuzjazmu!

- Pomysł bardzo dobry, gorzej z wykonaniem. Abby nadal jest w kiepskiej formie. Nie chce jeść. Zaproponowałam, żeby dziś poleżała. Dla ciebie przygotuję pieczeń, musisz jednak przedtem zrobić małe zakupy. Zaraz zrobię ci listę...

Roześmiała się.

- Co w tym takiego śmiesznego? - spytał Jake.

- A to, że prezes Nash Corporation będzie latał z wózkiem po supermarkecie. Jakoś mi to do ciebie nie pasuje.

- Uważasz, że nie dam rady?

- Pewnie, że nie - mruknęła cichutko. - Taka fajtłapa... Ojej!

Pisnęła, nagle bowiem została zmiażdżona w prawdziwie niedźwiedzim uścisku.

Matko, jak ona go kochała! Do nieprzytomności!

- Czy mogę dostać coś do picia? - usłyszeli drżący głos dochodzący od drzwi.

Jake, nie wypuszczając Taryn z objęć, spojrział ponad jej ramieniem, potem wrócił spojrzeniem do szafirowych oczu.

- Później się z tobą rozprawię - mruknął i pocałował ją w czubek nosa.

Może i to wszystko odbyło się ze względu na obecność Abby. Tym niemniej Taryn była mocno wstrząśnięta. Abby nie Abby - mogłaby przysiąc, że wszystko to chyba było spontaniczne!

Abby większość dnia spędziła na sofie. Za każdym razem, kiedy Taryn pytała, jak się czuje, zaklinała się, że o wiele lepiej, ale nadal wyglądała marnie. Taryn była coraz bardziej zmartwiona.

Wyprawa Jake'a do sklepu zakończyła się pełnym sukcesem. Kupił też gazety i czasopisma, w rezultacie salon zmienił się w czytelnię. Taryn, zerkając na Jake'a pochylonego nad gazetą, miała mieszane uczucia. Jake siedzi tu z nimi tylko przez grzeczność, na pewno wolałby sobie poczytać w samotności, w swoim gabinecie. Może w ogóle ma już dość dwóch bab w domu i z niecierpliwością odlicza dni do powrotu siostry.

Czyli najlepiej będzie nie wchodzić mu w drogę. Starać się zapewnić mu maksimum prywatności. Oczywiście, nie miała do niego żalu. Przeciwnie, kochała go jeszcze bardziej, kiedy pomyślała, że Jake, aby pomóc siostrze, zdecydował się na taką rewolucję w swoim domu.

Wieczorem też wszyscy zebrali się w salonie. Taryn jednak, zgodnie ze swoim przyrzeczeniem, postanowiła jak najszybciej usunąć się w cień.

- Pójdę już na górę - oznajmiła, podnosząc się z fotela.

- To ja też pójdę...

Abby, która tego dnia właściwie nic nie przełknęła, wstała z sofy.

- Dobranoc, Jake! - powiedziała bardzo radośnie i Taryn od razu się zorientowała, że z Abby jest bardzo niedobrze.

- Za chwilę tam przyjdę! - zawołała do Abby.

Abby wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- O matko! Jak dwa gołąbki... I powlokła się na górę.

- A więc - odezwał się półgłosem Jake, podchodząc bliżej do Taryn - przede wszystkim dziękuję za wspaniałą pieczeń. Dawno już czegoś tak dobrego nie miałem w ustach. A po drugie, co chcesz mi powiedzieć, Taryn?

- Chodzi o Abby. Jeśli do jutra rana nie poczuje się lepiej, moim zdaniem powinna pokazać się lekarzowi. Chociażby po to, żeby się uspokoić. Równie dobrze może być to fałszywy alarm, ale...

- Masz całkowitą rację. Chcesz, żebym pojechał z wami?

- Dzięki. Damy sobie radę. Gdyby było coś nie tak, zadzwonię do ciebie do biura, dobrze?

- Jasne. Zadzwon, niezależnie, co z tego wyniknie. Chcę wiedzieć, co się dzieje... Taryn, dziękuję. Naprawdę jesteś piękna. Nie tylko ciało. Masz także piękną duszę.

A on... jak on to pięknie powiedział!

- Mam nadzieję, że nigdy nie zgubię swojej aureoli - zażartowała, a w środku oczywiście topniała jak wosk.

Tej nocy miała ogromne kłopoty z zaśnięciem. Jake przecież powiedział, że jest piękna. Na ciele i na duszy! Położyła się wcześniej, ale trwało to chyba wieki, zanim myśli o Jake'u - cudownym, precudownym Jake'u - rozplynęły się, a ona pogrążyła się we śnie, z którego wyrwał ją płaczliwy głos Abby.

Taryn zapaliła światło i natychmiast wyskoczyła z łóżka. Abby wyglądała fatalnie.

- Abby, siadaj. Tu, w fotelu. Co cię boli?

- Boli mnie wszystko. I trochę mnie mdli.

A przecież w ciągu całego dnia prawie niczego nie tknęła. Czyli nie ma co się dłużej zastanawiać. Taryn nie była panikarą, teraz jednak w jej głowie

rozdzwoniły się wszystkie dzwoneczki alarmowe. Przecież to może być wyrostek. Jeśli się to zlekceważy, skończy się na zapaleniu otrzewnej.

- Zostań tutaj. Zaraz wracam - powiedziała. Narzuciła szlafrok i pobiegła do Jake'a.

Oczywiście, że powinna była zapukać. Powinna. Ale w tym momencie myślała tylko o Abby. Światło w pokoju było zapalone. Jake, demonstrując nagą cudowną klatkę, siedział na łóżku i czytał.

Spojrzenie Taryn prześlizgnęło się po zegarku na stoliku obok łóżka. Właśnie minęła północ.

- Taryn!

Książka poleciała na podłogę, kołdra na bok.

Przed oczyma Taryn mignęły dwie długie nogi. Matko święta - a może... może on nie ma nic na sobie? Na wszelki wypadek zrobiła szybko w tył zwrot. Potem wykonała to ponownie, do czego zmusiły ją dwie ciepłe dłonie.

- Abby! - wyrzuciła z siebie zadyszany głosem. Kiedy Jake zdążył nałożyć szlafrok? - Jest w moim pokoju. Czuje się okropnie. Jake, to może być wyrostek. Trzeba natychmiast wezwać lekarza.

- Wyrostek? W takim razie od razu jedziemy do szpitala. Za dwie minuty będę gotowy.

Szef obejmuje dowództwo. Dzielna Taryn poczuła wielką ulgę.

- To ja też lecę się ubrać. Jadę z wami.

O wpół do pierwszej byli już z powrotem. Taryn i Jake. Mieli trochę oporów, jeśli chodzi o pozostanie Abby w szpitalu. Ale w końcu przyznali zgodnie, że w obecnej sytuacji to najlepsze dla niej miejsce.

Po opukaniu, wygnieceniu i osłuchaniu lekarz orzekł, że to nie wyrostek, tylko poważne zaburzenia gastryczne. Na wszelki wypadek dziewczyna powinna zostać w szpitalu na obserwacji.

- Może zrobię coś do picia? - spytała Taryn.

- Ja zrobię.

Weszli razem do kuchni.

- Przepraszam, Jake. Na pewno teraz myślisz, że jestem panikarą.

- Ejże! A co to raptem przyszło ci do głowy? Widziałem przecież na własne oczy, że z Abby nie jest dobrze. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić od razu do Stuarta. Ale poczekałem z tym, póki nie postawili dokładnej diagnozy.

- Domyślam się, że wracają wcześniej?

- Najbliższym samolotem

- To dobrze. Powinni być przy niej. No cóż... - Taryn uśmiechnęła się - W takim razie biore się za pakowanie.

Wolała pierwsza to powiedzieć. Nie czekać, aż Jake da jej do zrozumienia, że w tym domu jest już zbyt duża.

- Pakowanie? - powtórzył takim tonem, jakby w ogóle nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Po chwili zrozumiał i jego twarz spoważniała. Odstawił swoją kawę i zapytał wprost:

- Dlaczego?

- Przecież nie jestem już tutaj potrzebna. Abby na pewno zostanie w szpitalu kilka dni...

- Jesteś bardzo potrzebna. W każdej chwili mogą zadzwonić ze szpitala, żeby ją odebrać.

- W środku nocy?

- Może i tak! Dlatego chcę, żebyś była tutaj!

Bardzo chciała, żeby zabrzmiało to inaczej. Niestety, chodziło tylko i wyłącznie o siedemnastolatkę, poza tym Jake powiedział to bardzo nieprzyjemnym tonem.

- Nie będę niczego piła!

Nagle zachciało jej się płakać. Poczowała nienawiść. Do niego, do tej swojej głupiej miłości.

Wybiegła z kuchni i pobiegła do swojego pokoju.

Była zła, okropnie zła. W porządku, może oboje są zmęczeni, ostatnie półtorej godziny było naprawdę ciężkie, ale co on sobie wyobraża?

Niech się wypcha! Ona jutro i tak znika, z samego rana...

Ledwo zdążyła nałożyć piżamę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. O, przyszedł! Pan i władca. Dobrze, że przynajmniej zapukał i zdążyła nałożyć szlafrok.

Dalej była zła.

Otworzyła energicznie drzwi.

- Jeśli ty sobie wyobrażasz, że będę ci po nocy stenografować...

Zamilkła. Bo Jake, ten wstrętny Jake, uśmiechał się.

- Jestem brutalem.

O, matko! Dziewczyno, trzymaj się! Nie zapominaj, że masz swój honor!

- Wybaczysz mi, Taryn?

Spojrzała w szare oczy. Smutne i błagalne? A skąd. Skrzyły się, czyli żartował sobie z niej i pora zakończyć tę żalną scenę.

- Wybaczam ci - powiedziała oschłym tonem. Niestety, próba efektownego zatrzaśnięcia mu drzwi przed nosem nie powiodła się.

Przytrzymał je ręką.

- Nie zabrzmiało to szczerze.

- Nie?

Biedaczek, nie zaśnie, póki ona nie powie mu tego bardziej słodko! Czują, że złość przechodzi. Zaczęła się śmiać, na razie, oczywiście, w duchu.

- Wybaczam ci - powtórzyła trochę łagodniej.

Jake zrobił krok w tył, potem wrócił szybko na poprzednie miejsce. Jakby odejście stąd było ponad jego siły.

- Chciałbym, żebyś przebaczyła mi naprawdę. Jego spojrzenie wyraźnie spoczęło na jej ustach.

- O, nie!



Odruchowo cofnęła się w głąb pokoju. Jake przesunął się do przodu dokładnie o tę samą odległość. Cały czas patrzył jej głęboko w oczy.

- Jesteś pewna? - spytał.

Głosem takim, że po prostu rozplywała się w środku. Choć jej głos był bardzo surowy - taką przynajmniej miała nadzieję.

- Wiesz, która godzina?

- Wiem. Ale wiem też, że przedtem pocałowałaś mnie z własnej nieprzymuszonej woli.

- Ze względu na Abby!

- Nieważne. Zrób to jeszcze raz!

- Och!

Stała na palcach i cmoknęła go w policzek. Starła się zrobić to jak najszybciej, dlatego nie wypadło najzręczniejsz. Zachwiała się, silne ramię ją podtrzymało...

Tyle, jeśli chodzi o stawianie oporu. Ale ona przecież go kochała! A on był taki duży, ciepły, mocny...

- Nie chciałem cię urazić, Taryn.

- Wierzę ci - odpowiedziała cichutko. Wtedy to on ją pocałował. Bardzo delikatnie.

- I co? Było tak strasznie?

- Nie... - mruknęła. - Całkiem... sympatycznie. No to dobranoc...

- Dobranoc, kochanie - odpowiedział bardzo miło i przytulił ją do siebie mocniej. Znów pocałował. Na dobranoc? Nie, bo to nie był ostatni pocałunek. W chwili, gdy ich usta się spotkały po raz kolejny, Taryn straciła resztki panowania nad sobą. Objęła go - on nie miał nic przeciwko temu. Przeciwnie, zaczął całować ją bardzo namiętnie.

- Taryn... Wiesz, że cię pragnę? - spytał cicho.

- Tak... - odpowiedziała drżącym głosem. Gorące wargi przesunęły się delikatnie po jej szyi.

- Co ty na to, Taryn?

Co miała powiedzieć? Kocham cię? Chcę się z tobą kochać? Jedyne prawdziwe słowa, ale...

- Ja? Myślę, że... domyślasz się.

- Och, Taryn...

Kolejny pocałunek. Taki, który przekazał, że odwrotu nie ma. To było wprost cudowne, ona absolutnie nie miała zamiaru się wycofać.

Odpowiadała żarliwie na jego pocałunki. Szlafroczek - nie wiadomo jakim sposobem - raptem znikł, tak samo jego koszula. Ciepłe palce Jake'a głaskały ją po plecach. Nagle poczuła, jak wsuwają się pod koszulkę.

Zesztywniała.

Ręce Jake'a znieruchomiały.

- Nie bój się, kochanie.

- Ja niczego się nie boję! - odpowiedziała żartobliwie. Bała się, że on może przestać. - Czuję się tylko trochę... niepewnie.

- Och, moja ty słodka - mruknął.

Jego usta po raz kolejny przywarły do jej warg, ciepłe palce delikatnie zaczęły głaskać jej piersi.

- Jake... Och, Jake - szepnęła.

- Nie bój się. Wszystko w porządku.

Nie wiadomo, jak pozbył się spodni. Czowała jego nagie uda przy swoich nagich udach, czowała, jak bardzo jest podniecony. A ona... Ona faktycznie czowała, jak w jej ciele wybucha płomień.

Dlatego Jake, kiedy ściągał jej górę od pizamy, usłyszał cichutkie, nieśmiałe wyznanie.

- Ja.... ja też ciebie pragnę, Jake.

Kiedy kładł ją na łóżku, czowała się, jakby wkraczała do innego, zachwycającego świata.

- Teraz przypomnę sobie... - powiedział cicho Jake i wsunął palce pod spodenki od piżamy.

Widział już ją kiedyś naga. W biurze, kiedy skorzystała z jego prywatnego prysznica.

- Ja...

Niestety, była pewna, że wszystkie jej opory znikły. A jednak...

- Jake! Nie...

Chwyliła go za rękę. W jej głosie słychać było panikę. Jake odsunął się natychmiast.

- A niech to... - zaklął cicho i szybko nakrył ją szlafrokiem. - Co mi strzeliło do głowy!

- Ale to nic! Nic! - zawołała Taryn. Zrozpaczona. Przecież chciała go, okropnie go chciała. On jej też. I teraz... teraz zamierza sobie iść?

- Co się stało, Jake? Ja wcale nie powiedziałam „nie”...

- A ja po prostu chcę skorzystać z okazji - powiedział zachrypniętym głosem.

Wstał i zaczął wkładać dzinsy. Och, była gotowa go błagać. Proszę, skorzystaj. Proszę... Na szczęście, opamiętała się. Mogła tylko dziękować niebiosom, że ma dumę.

- Boisz się, że od jutra rana przestanę darzyć cię szacunkiem? - spytała. Dziwiąc się, że była w stanie powiedzieć to tak spokojnie, kiedy była cała rozpalona od jego pieszczot. A udało się jej nawet zaśmiać.

On się nie zaśmiał.

- Pójdę już - powiedział nieswoim głosem i znikł za drzwiami.

## ***ROZDZIAŁ ÓSMY***

Tej nocy Taryn spała niewiele. Obudziła się też bardzo wcześnie i natychmiast zerwała się z łóżka. Szybko wzięła prysznic, ubrała się i zaczęła się pakować. Z twardym postanowieniem - najwyższy czas zejść z powrotem na ziemię. Nigdy, przenigdy nie zapomni tych przecudownych pocałunków z Jakiem, jednak teraz w jasnym świetle dnia zmuszona była spojrzeć prawdzie w oczy. Niezależnie od tego, jak by nie była bolesna. A była. Ona, Taryn Webster, wczoraj wieczorem kompletnie straciła głowę. Chciała oddać się mu, podczas gdy on wcale nie był zdecydowany iść na całość. Nie był, skoro bez żadnych oporów wyszedł wczoraj z jej pokoju.

Może domyślił się, że ona go kocha i przestraszył się? Och, nie... Ta myśl była po prostu nie do zniesienia!

Po domu ktoś już chodził. Wiadomo - on. Dlaczego?! Tak bardzo chciała wymknąć się niepostrzeżenie, unikając krępującego pożegnania...

On idzie na górę! Na pewno! Kroki słysząc coraz bliżej. Teraz zatrzymał się przed jej drzwiami. Stoi. Znowu słyszała kroki. Zdecydowanie po schodach. Jaka ulga! Jake schodził na dół.

Wstyd, okropny wstyd. Wczoraj wieczorem sama pchała mu się w ramiona. Bo powiedział: moja ty słodka? Wymknęło mu się pod wpływem chwili. I to żadna deklaracja miłosna. Byłaby idiotką, gdyby wyobrażała sobie, że on ją kocha, chociaż troszeczkę. Nigdy przecież, nawet w najmniejszym stopniu nie dał jej do zrozumienia, że traktuje ją jak kogoś więcej niż dobrego pracownika.

Wreszcie. Kilka rozsądnych wniosków pomogło jej się pozbierać. Poczowała nawet przyływ energii. Więcej. Ożył duch bojowy, jak najbardziej pożądany w obecnej sytuacji.

Jake był w kuchni i robił sobie kawę. Stał odwrócony plecami. Świetnie, tak było o wiele lepiej.

- Wyjeżdżam. Dziś. Zaraz - powiedziała do tych pleców.

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz. Musiał zauważyć sińce pod oczami - konsekwencja prawie bezsennej nocy. Ale powstrzymał się od komentarza. Spytał tylko:

- Dlaczego?

Jakby tego nie wiedział! Taryn czuła, że emocje zaczynają się jej wymykać spod kontroli.

- Myślę, że po prostu będzie lepiej, jeśli mnie tu nie będzie - powiedziała na tyle spokojnie, na ile było ją teraz stać.

- Czy to z powodu tego, co stało się wczoraj wieczorem? - spytał. - Żałujesz, że...

O, nie! Jak on śmie! Nie dość że wczoraj to on ją zostawił, dziś zebrało mu się na wspominki. Ona jednak nie miała ochoty na analizę wieczornych wydarzeń.

- Oczywiście. Wszystkiego - rzuciła chłodno, z nadzieją, że jej nieprzyjemny ton zniechęci go do dalszej rozmowy na ten delikatny temat. Niestety, jak wiadomo, nadzieja matką głupich. Poza tym знаła go już wystarczająco długo, żeby poznać oczywistą prawdę. Jake Nash, jak się uprze, nie popuści.

Przyczepi się jak rzep do psiego ogona.

Zmrużył lekko oczy. Znak, że informacja, jakiej mu udzieliła, nie przypadła mu do gustu, a już na pewno nie chłodny ton.

- Martwisz się, bo nagle odkryłaś, że jesteś normalną zdrową kobietą z normalnym zdrowym apetytem na...

- Nie! - przerwała mu gwałtownie. - Zero apetytu! Wcale nie mam ochoty iść z tobą do łóżka!

- Czujesz się zawstydzona, że wczoraj wieczorem miałaś na mnie ochotę?

- Ochotę?! Ochotę to ja mam na karierę... - powiedziała, próbując rozpaczliwie zmienić temat. - Chcę doskonalić swoje umiejętności, być najlepszą asystentką na miarę moich możliwości. A poza tym... poza tym...

Niestety, traciła rezon.

- Poza tym - co?! - rzucił ostro Jake. Wyraźnie nie miał zamiaru jej niczego ułatwiać.

- Poza tym... - Nabrała powietrza i wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Nie wypada, żeby...

I znów ją przytknęło. Jake tym razem nie zamierzał czekać, aż ją odetka. Sam dokończył.

- Żeby asystentka sypiała ze swoim szefem?

- Oczywiście! Tylko relacje służbowe! - Bogu dzięki, udało jej się odzyskać mowę. Mało tego, zabrzmiało to bardzo stanowczo. - Przyznaję, wczoraj wieczorem trochę straciłam panowanie nad sobą, ale to wcale nie znaczy, że zdecydowana byłam na wszystko! Mam zbyt wiele szacunku do samej siebie. Podczas gdy ty...

- Ja? Przecież to ja wczoraj wyszedłem z twojego pokoju. Nie zauważyłaś tego?

Jak zwykle. To do niego należało ostatnie słowo. Ale ona zdobyła się jeszcze na jeden wysiłek - nadludzki - i maksymalnie obniżając temperaturę swego głosu, oświadczyła. Z całą mocą:

- Taka sytuacja, jak wczoraj, już się nigdy nie powtórzy.

Lód był w jej głosie, lód pojawił się w szarych oczach Jake'a. Był wściekły, jasne. Czyli koniecznie trzeba skierować jego myśli na inny tor.

- Kiedy masz zamiar zadzwonić do szpitala? - spytała.

- Już tam dzwoniłem - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Co powiedzieli? - spytała, niemile zaskoczona, wyglądało przecież na to, że wcale nie zamierzał poinformować jej o stanie zdrowia Abby.

- Na pewno nie wyrostek. Abby wychodzi dziś ze szpitala.

- Świetnie. Chcesz, żebym poczekała tu na nią?

- Nie przejmuj się tym! Wcale nie jesteś tu tak bardzo potrzebna, jak mi się zdawało!

Bardzo szczerze. Wyjątkowo.

Chyba zbladła, bo Jake odruchowo zrobił krok w jej stronę. Przestraszył się?

O święta naiwności! Po prostu ominął ją i poszedł dalej. Po chwili usłyszała odgłos - o wysokim natężeniu - zamykanych drzwi do gabinetu. Domyśliła się, że przed wyjazdem do pracy poszedł jeszcze przejrzeć jakieś papiery.

Do pracy, w której ona nie jest już potrzebna. Nie mógł bardziej dobitnie dać jej tego do zrozumienia.

Och, jak to zabolalo! Bliska łez, wybiegła z kuchni i w tym samym tempie pokonała odległość dzielącą ją od jej pokoju. Nie ruszała się stamtąd, póki nie usłyszała, jak Jake wychodzi z domu.

Przed wyjściem nie przyszedł do niej na górę. W sumie nic dziwnego. Jest człowiekiem bardzo dumnym. Trudno mu przełknąć, że ona pójdzie z nim do łóżka uważa za oznakę braku szacunku do samej siebie. Dlatego wywalił jej prosto w oczy. Wcale nie jesteś tu tak bardzo potrzebna, jak mi się zdawało. W domyśle - poradzę sobie z Abby. A drążąc głębiej - nie jesteś jedyną asystentką na świecie. Naprawdę jest w czym wybierać.

Była cała roztrzęsiona. Pewna w stu procentach, że z pracą w Nash Corporation już się pożegnała. A to rozdzierało serce na strzępy. Przez moment zastanawiała się, czy nie jechać do biura, żeby przekonać się, jak naprawdę wygląda sytuacja. Może nie jest tak źle, może Jake, kiedy się trochę uspokoił, doszedł do wniosku, że zadziałał zbyt pochopnie?

Zapomnij o tym! Kochasz go, ale żadnego czołgania się przed nim. To nie w twoim stylu. Znajdziesz sobie inną pracę, a Jake może sobie...

Bunt. Jednocześnie cała w środku ociekała łzami.

Skończyła się pakować.

Wiedziała, że pani Vincent przychodzi koło dziewiątej. Klucz zostawiła na kuchennym stole. Wyszła z domu i zatrzasnęła drzwi.

Klamka zapadła. Oczywiście, że poradzą sobie bez niej. Jake poprosi panią Vincent, żeby miała oko na Abby, kiedy on będzie w pracy. W końcu chodzi tylko o jeden dzień. Rodzice Abby wracają już jutro i problem z głowy.

A w pracy? Co z Kate? Och, da sobie świetnie radę. Trudne początki błogosławnego stanu ma już za sobą, a w razie potrzeby Jake na pewno kogoś zatrudni.

Wsiadła do samochodu. Ruszyła. Kiedy przejechała już spory kawałek, dotarło do niej, że chociaż jedzie niby bez celu, podświadomie zbliża się do agencji ciotki Hilary.

Ciotka... Nie, to nie fair zwracać się z każdym problemem do ciotki. Trzeba wracać do domu. Może i nie jest tam najsympatyczniej, ale jest przynajmniej pani Ferris i nikt nie będzie wysługiwał się nią.

Niestety, kilka godzin później Taryn tkwiła w oknie, gotowa bez sprzeciwu ulec temu, kto zechce wykorzystać jej osobę w taki lub inny sposób. Bezczynność była wbrew jej naturze. Zaczynała się nawet obawiać, że nadmiar wolnego czasu może mieć destrukcyjny wpływ na jej psychikę. A przecież to był dopiero pierwszy jej dzień w roli bezrobotnej.

Gdzieś koło południa przypomniała sobie o obietnicy danej Brianowi Mellorowi. Powiedziała, że do niego zadzwoni.

Zadzwoni, ale najpierw powinna to i owo postanowić. Po tej historii z Jakiem absolutnie nie miała ochoty na żadne powroty do przeszłości. Z drugiej jednak strony na tę dalszą przeszłość można spojrzeć trochę inaczej, skoro uświadomiła sobie, że jej zauroczenie Brianem nie było miłością. Teraz czuła po prostu, że go bardzo lubi i nie chce sprawić mu zawodu.

Brian był zachwycony jej telefonem. Przywitał się z nią wyjątkowo serdecznie, po czym, oczywiście, spytał:



- Gdzie teraz pracujesz?

- Nigdzie.

- Wracaj do mnie. Mam nową asystentkę, zaczęła dzisiaj, ale mogę przerzucić ją do innego działu. Powiedz tylko słowo.

Taryn, oczywiście, nie miała zamiaru mówić tego słowa. Pominąwszy wszystko, zrobiłaby tej biednej dziewczynie wielkie świństwo.

- Dzięki, Brianie, ale teraz przez jakiś czas nie mam ochoty pracować jako asystentka.

- Szkoda - powiedział z żalem Brian i zaczął narzekać, jaki bałagan zrobił się po jej odejściu. Miał potem dwie asystentki, jedną gorszą od drugiej. Nie zagrzały u niego miejsca.

- Taryn, a może przyszedłabyś do mnie tylko na jakiś czas? Zrobić porządek w papierach i wprowadzić Lucy w robotę? Zrobiłabyś mi wielką przysługę.

O matko... Znów ktoś prosi tylko o przysługę...

- Dobrze - powiedziała szybko Taryn, przede wszystkim dlatego, żeby jej myśli broń Boże nie pobiegły ku Jake'owi.

Brian, sądząc po głosie, nie posiadał się z radości.

- Dzięki, Taryn. Możesz zacząć od jutra?

- Mogę.

Odłożyła słuchawkę, świadoma, że przyjęła na siebie pewne zobowiązania, z których niezręcznie byłoby się teraz wycofać. Z drugiej jednak strony wycofanie się byłoby głupotą. Zawsze lepiej mieć jakieś zajęcie, niż marnować czas na głupich rozmyślaniach. Jedna tylko rzecz była zastanawiająca. Skąd to poczucie, że przyjmując pracę u kogoś innego, jest w jakiś sposób nielojalna wobec Jake'a? Poczucie tym bardziej irracjonalne, że Jake, gdyby się o tym dowiedział, po prostu by ją wyśmiał.

Miała wielką ochotę do niego zadzwonić i zapytać o zdrowie Abby. Nie zadzwoniła jednak, ze względów taktycznych. Jake byłby zachwycony, że ona

pokazuje się od jak najgorszej strony, prawda? Odeszła na własne życzenie i ma jeszcze czelność do niego dzwonić!

U Briana po godzinie pracy czuła się tak, jakby w ogóle stamtąd nie odchodziła. Z robotą nie miała żadnego problemu. Doceniała, jak dużo się nauczyła w Nash Corporation. Jak.... Och, nie. Stop! Ten rozdział w jej życiu jest zamknięty na zawsze. Rozdział niebezpieczny, najlepiej w ogóle unikać tego typu skojarzeń.

Lucy Reid, nowa osobista asystentka Briana, okazała się bardzo bystrą i kompetentną osobą. Było to oczywiste od samego początku i już po kilku dniach Taryn doszła do wniosku, że jej osoba w Mellor Engineering jest zbędna.

Brian prosił jednak bardzo, żeby została do końca tygodnia.

- Jesteś jedynym promykiem słońca w moim ponurym życiu, Taryn.

- Naprawdę? W takim razie zostanę do końca tygodnia.

Żartował, ale wyglądał bardzo kiepsko. Jakby całą noc nie spał.

- Bardzo mi przykro, że tobie i Angie nie powiodło się - powiedziała cicho Taryn. - Zawsze sprawialiście wrażenie bardzo do siebie przywiązanych.

Zamilkła z obawy, czy z jej strony nie była to zbyt wielka poufałość. Ale Brian wcale się nie obruszył.

- Ja też tak sądziłem - odpowiedział po chwili. - Dopóki nie zorientowałem się, że Angie ma romans...

Szok. Angie i romans?! Niemożliwe! Angie, ta porządna Angie, wzorowa matka i żona, ta oaza spokoju?

- Prawdopodobnie za dużo czasu spędzałem w pracy. Angie obiecała, że z nim zerwie. Próbowaliśmy zacząć wszystko od nowa, ale nic z tego nie wyszło. Po prostu przestała mnie kochać. A zakochała się w tym facecie.

- Odeszła od ciebie?

- Nie. To ja odszedłem. Tak było lepiej, ze względu na nią i na dzieci. Wyprowadziłem się, ale przyznaję, czułem się trochę dziwnie, kiedy usłyszałem, że on się do nich wprowadził. Ale cóż... Przedtem trochę się to

wszystko kotłowało... Najgorzej było chyba tamtego dnia, kiedy tak się wygłupiłem i pocałowałem cię. Byłem wtedy w paskudnym dole, koniecznie chciało mi się do kogoś przytulić. Przepraszam, Taryn.

- Nie ma o czym mówić. Zapomnijmy o tym. Uśmiechnęła się do niego ładnie i wyszła. Tego wieczoru wróciła do domu w ponurym nastroju. Brian nie miał szczęścia w miłości. Ona również, a wieczorem zadzwonił jeszcze jeden członek ich klubu, czyli Matt.

- W czwartek wyjeżdżam - zakomunikował. - Na pół roku. Dasz się namówić na pożegnalną kolacyjkę?

- Jasne!

Umówili się na następny dzień. Taryn odkładała słuchawkę z pełną świadomością, że jest źle. Wyjazd Matta to dowód, że przegrał bitwę. Pogodził się, że Alison wystąpiła o rozwód i jego małżeństwo nieodwołalnie należy już do przeszłości.

Nic więc dziwnego, że Taryn zasypiała w stanie największego przygnębienia. Następnego dnia rano wcale jej się nie chciało iść do Mellor Engineering. Musiała jednak, dała przecież słowo, że zostanie do piątku. Wieczór z Mattem, jak zawsze, był bardzo udany, chociaż oboje nie tryskali humorem. Czas mijał, tydzień dobiegał końca. Taryn skończyła porządkowanie dokumentacji, o co prosił Brian, i jeszcze raz utwierdziła się w przekonaniu, że jej obecność w sekretariacie Mellor Engineering jest absolutnie zbędna.

W piątek o trzeciej pomaszerowała do Briana.

- Odchodzę.

- Jesteś pewna, że nie chcesz tu zostać, Taryn? Jeśli wolałabyś pracować w innym dziale...

- Nadal nie jestem pewna, czy chcę dalej pracować jako asystentka.

Ponieważ darzyła go wielką sympatią, pocałowała go w policzek.

- Do widzenia. Mam nadzieję, że niebawem wszystko u ciebie zmieni się na lepsze.

Poszła do windy, zastanawiając się w duchu, co dalej.

Może jednak pogadać z ciotką Hilary i złapać jakieś tymczasowe zajęcie...

Winda była dość opieszła. W końcu jednak pojawiła się. Taryn, wchodząc do środka, kątem oka zauważyła, że stoi tam jakiś ciemnowłosy mężczyzna, bardzo podobny do...

Wystarczający powód, żeby natychmiast wbić wzrok w drzwi. Winda ruszyła. Po drodze ktoś wsiadał, ktoś wysiadał, w końcu zostały w niej tylko dwie osoby.

Taryn i ten facet w garniturze. Przyglądał jej się. Na pewno. Czula na plecach jego wzrok. Bardzo uciążliwy. Gość swoim spojrzeniem przewiercał ją na wylot.

Co jest?!

Odwróciła się i serce natychmiast podskoczyło jej do gardła.

Jake Nash. Stał tam, jakby trochę bledszy niż zwykle. Żyłka na skroni nabrzmiała.

Desperacko szukała w głowie jakichś zręcznych słów. Wypada się przecież przywitać, nawet jeśli on nie otwiera ust.

To, co w końcu powiedziała, samo wymknęło jej się z ust. Coś, co on sam kiedyś powiedział...

- Jest pan czymś bardzo zdenerwowany?

- Trzeba przyznać, że masz nerwy ze stali!

Warknął. Tylko tak to można było zdefiniować. Warknął, dokładnie w chwili, gdy winda zatrzymywała się na parterze.

Taryn pozwoliła sobie na małe pytanie.

- Chwileczkę! A o co właściwie chodzi?

- A powiem ci! Oczywiście! Tylko za chwilę!

Zakleszczył palce na jej ramieniu. Wyprowadził z windy, potem przez hol. Taryn nie zdążyła pomyśleć, kiedy stała już na parkingu. Jake otworzył drzwi swojego samochodu i padł rozkaz:

- Wsiadaj!

Takim tonem, że nogi pod nią się ugięły. Nie miała wyboru. Upaść albo wsiąść do samochodu. Więc wsiadła.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Samochód ruszył. Kiedy Jake wjechał na jezdnię, Taryn zdążyła jako tako się pozbierać i sformułować kolejne pytanie.

- Co ja takiego zrobiłam? - spytała, spoglądając na jego kamienną twarz. Dokładniej - kamienny profil.

Cisza. Spytała więc:

- Dokąd jedziemy?

Znowż szkoda słów.

- Posłuchaj!

A to już powiedziała o ton głośniejsz. Czowała, że zdenerwowanie znika, natomiast coraz większa jest złość.

Nadal się nie odzywał, tylko patrzył. Prosto przed siebie.

Mogłaby dalej dociekać, zaczęła jednak rozpoznawać drogę. Czyżby wiozł ją z powrotem do biurowca, gdzie Nash Corporation miało swoją siedzibę? Chyba nie...

A jednak. W ciągu dziesięciu minut dojechali do celu. Jake zaparkował w zarezerwowanej dla niego zatoczce, wysiadł, obszedł wóz i otworzył drzwi koło Taryn, która, choć z sercem pracującym na najwyższych obrotach, z uporem trwała na swoim miejscu. Dlatego usłyszała:

- Masz dokładnie trzydzieści sekund na opuszczenie tego samochodu.

Dalej bezruch.

- Wsiadaj! Mam ci pomóc?

Będzie się z nią szarpał? Nie ośmieli się. Chociaż jego mina nie wróżyła nic dobrego. Poza tym już się nachylił. Czyli lepiej nie ryzykować.

Wysunęła nogi z samochodu, wysiadła i nie oglądając się za siebie, pomaszerowała do drzwi. Jake, oczywiście, dotarł tam pierwszy. Znów zakleszczył palce na jej ramieniu i ruszyli w podróż na najwyższe piętro.

Przeżywała męki. Bardzo nie chciała, żeby Jake rozprawiał się z nią w obecności Kate. Na szczęście minęli drzwi do sekretariatu i weszli w następne, którymi wchodziło się bezpośrednio do jego gabinetu.

Taryn coraz intensywniej odczuwała zdecydowaną niechęć. Trudno czuć sympatię do faceta, który wpycha cię do środka, zamyka drzwi, po czym pcha cię dalej, w najodleglejszy kąt pokoju, gdzie stała sofa i fotele, i rzuca kolejny rozkaz.

- Siadaj!

Nie, nie usiadła. Tylko zdecydowała się znowu zareagować.

- Jake! Dlaczego jesteś na mnie taki zły? Czym sobie na to zasłużyłam?

- Dziwisz się? Przecież ty nawet świętego wyprowadziłabyś z równowagi!

- Czyżby? Może więc w końcu łaskawie mi powiesz, co ja takiego straszego zrobiłam?

- Masz jeszcze czelność pytać? Jakby nigdy nie wróciłaś do Mellora...

- Ach! O to ci chodzi?

- Właśnie o to! - zagrzemiał. - Bo ty pracujesz u mnie! Pracujesz nie tam, a tutaj, jasne?

- Przecież mnie zwolniłeś!

- Kiedy?!

- Dobrze wiesz, kiedy, Jake! Twoje słowa mogłam zinterpretować tylko w jeden sposób.

- A co ja takiego powiedziałem?

- Powiedziałeś, że wcale nie jestem tak bardzo potrzebna, jak ci się zdawało!

- I ty sądziłaś, że... Wyraźnie trochę ochłonał. - Byłem wtedy zły, Taryn.

- Byłeś podły.

- Może. Ale w końcu mam swoją dumę.

- Nie rozumiem.

- Dałaś mi przedtem wyraźnie do zrozumienia, że pójdzie ze mną do łóżka to dla ciebie jak tarzanie się w błocie!

- Ależ ja wcale nie to miałam na myśli... O, matko... Mogę usiąść?

Od tego nadmiaru emocji solidne podłóże w postaci sofy nagle wydało jej się niezbędne.

- Bardzo proszę - powiedział uprzejmie Jake i sam zajął miejsce w fotelu naprzeciwko.

- Taryn, czy ty nadal kochasz się w Brianie Mellorze?

Taryn spojrzała mu prosto w oczy. Z wyrzutem. Sądziła, że teraz zaczną normalną, służbową rozmowę. Jak pracodawca z pracobiorcą.

- W Brianie? A co to ma wspólnego z całą sytuacją? - spytała.

Zauważyła, jak żyła na skroni Jake'a wyraźnie nabrzmiała. Czyli znów zaczynał się irytować.

- Oczywiście, że ma.

Ona, oczywiście, uważała inaczej, postanowiła jednak nie drażnić. Zamiast tego zadała mu zasadnicze pytanie:

- Czy chcesz, żebym nadal u ciebie pracowała? Jake na pytanie odpowiedział pytaniem:

- Czy to znaczy, że z chęcią odejdziesz od Mellora? Po czym jednak udzielił dodatkowych wyjaśnień.

- Kiedyś odeszłaś od Mellora, bo ciebie pocałował. Ja zrobiłem to samo, dlatego podejrzewam, że ode mnie odeszłaś też z tego powodu. Jednak do Mellora wróciłaś. A czy jest szansa, że wrócisz do mnie?

Serce Taryn zabiło o wiele szybciej, ożywione nadzieją. Jest szansa na powrót do Nash Corporation! Jakże to cudowne! Przecież ona nawet w najśmielszych marzeniach...

- Naprawdę chcesz, żebym wróciła?

- Oczywiście - odparł bez wahania.

Była przeszczęśliwa. Naturalnie, starała się to ukryć. Żadnego skakania z radości. Wstała z sofy.

- A więc dobrze. Mogę stawić się w poniedziałek do pracy. U ciebie.

Słyszała, jak Jake zrobił głęboki wdech.

- Świetnie.

Czyli sprawę można uważać za zakończoną. Uśmiechnęła się i zrobiła krok w kierunku drzwi. Jeden, bo Jake nagle zastąpił jej drogę.

- Chwileczkę!

- Przepraszam! Myślałam, że to już wszystko.

- Tak, jeśli chodzi o sprawy służbowe.

- W takim razie... Chcesz, żebym poszła przywitać się z Kate?

- Kate nie ma. Poszła do lekarza.

- Aha... - mruknęła Taryn, coraz bardziej zdezorientowana. - A jak czuje się Abby?

- Doszła już do siebie. A uprzedzając kolejne twoje pytanie, informuję, że siostra i jej mąż są bardzo zadowoleni z wyjazdu.

- Po co ta ironia?

- Po co twoje zdenerwowanie?

- Dziwisz się? Przecież nie mam pojęcia, czego ty właściwie ode mnie chcesz. Sprawy służbowe zostały omówione, nie chodzi ani o Kate, ani o Abby...

- Nie. Chodzi o sprawy bardzo osobiste.

Osobiste! Taryn, spłoszona, spojrzała odruchowo na drzwi. Niestety, ręka Jake'a rozwiała nikłą nadzieję na ucieczkę.

- Ja... ja wcale nie jestem pewna, czy mam ochotę poruszać te tematy - wyjąkała.

- Dlaczego nie? - spytał bardzo łagodnym głosem Jake. - Z mojego punktu widzenia taka rozmowa jest niezwykle potrzebna.



- Chcesz coś wyjaśnić, zanim powrócimy do relacji czysto służbowych?  
Wydaje mi się, że nie ma takiej potrzeby. Będę tu w poniedziałek. Stawię się do pracy, jak zwykle...

- Czy ty nadal kochasz się w Brianie Mellorze?

Litości!

- Masz zamiar za niego wyjść?

Drugie pytanie w pierwszej chwili ją zaskoczyło, przypomniała sobie jednak, jak Abby poinformowała Jake'a, że Brian ma zamiar się rozwieść.

Brian... Czy jego osoba nie mogłaby być dobrą zasłoną dymną dla jej prawdziwych uczuć?

- Jeszcze mi się nie oświadczył - oznajmiła oschłym tonem.

- A jeśli to zrobi? Rozważysz to?

Nigdy, przenigdy!

- Oczywiście. Ty pierwszy dowiesz się, jaka będzie moja decyzja!

- Tak? - Palce Jake'a zacisnęły się na jej ramieniu zdecydowanie mocniej.

- Czyżby Brian znów zabrał się do całowania?

- Szczerze mówiąc, wcale nie czekałam na jego inicjatywę. Sama go pocałowałam.

W końcu w taki przecież miły sposób zakończyła współpracę z Brianem.

- Jak? Jak go pocałowałaś? Tak na serio?

Jej usta instynktownie szykowały się już do udzielenia odpowiedzi przeczącej. Naturalnie, błyskawicznie przerobiła to na „tak”, ale Jake, jak zwykle bardzo spostrzegawczy, zauważył, że ona coś kręci.

- Panno Webster, czy pani przypadkiem nie zdecydowała się na małe kłamstewko?

A potem, ku jej zdumieniu, po jego twarzy przemknął uśmiech. Po chwili Jake delikatnie potrząsnął jej ramieniem.

- Panno Webster, powie mi pani prawdę czy mam ją z pani wydobyć?  
Wyciągnąć?

Taryn szybko cofnęła się o krok.

- Lepsza już śmierć! - krzyknęła dramatycznie, choć kąciki jej ust zdrzętały podejrzenie. Zdawała sobie jednak sprawę, że żarty żartami, Jake nie ustąpi.

- Jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć...

- Oczywiście, że chcę!

- No więc... Tydzień temu, kiedy byłam z Abby na mieście, przypadkowo natknęłam się na Briana. Obiecałam, że do niego zadzwonię. Przypomniałam sobie o tym, kiedy ty nie chciałeś, żebym ja... W każdym razie kiedy byłam pewna, że już u ciebie nie pracuję.

- Zadzwoniłaś do niego, a on zaproponował, żebyś do niego wróciła?

- Tak. Ale ja odmówiłam.

- Odmówiłaś?! To w takim razie co tam dziś robiłaś?

- Właśnie od niego odeszłam. Pracowałam u niego tylko kilka dni. Po moim odejściu Brian miał problem ze znalezieniem nowej asystentki. Ta, którą właśnie zaangażował, wydaje się niezła. Brian poprosił, żebym wciągnęła ją we wszystko, a przy okazji zrobiła porządek w papierach. Dziś byłam tam po raz ostatni.

Do tych informacji Jake nie miał żadnych zastrzeżeń. Tylko co do jednej rzeczy chciał się jeszcze upewnić.

- Ale on ciebie nie pocałował?

- A skąd... A tamten pocałunek... Sam uważa, że się wygłupił. Był kompletnie zagubiony. Biedny Brian. Bardzo kocha swoją żonę, ona, niestety, znalazła sobie kogoś innego. Dziś pocałowałam Briana na pożegnanie w policzek. Bo jest mi go przede wszystkim bardzo żal.

- Odkochałaś się?

- Nigdy nie byłam w nim zakochana. Bardzo go lubię i szanuję. Jest wspaniałym człowiekiem.

- Ale to nie była miłość? - przerwał Jake, wykazując kompletny brak zainteresowania licznymi zaletami jej byłego szefa.

- Nie. Na pewno nie.

- A skąd to wiesz? Skąd wiesz, że to nie była miłość?

- Po prostu... wiem.

Wypadło to bardzo słabo. Musiała się przecież bardzo pilnować, żeby nie zdradzić, skąd ona wie, czym jest prawdziwa miłość.

Poza tym... poza tym Jake spojrzał na nią tak jakoś dziwnie. Po chwili znów się odezwał, w jego głosie jednak nie było ani odrobiny napastliwości.

Głos był cichy. Taki głos, o którym się mówi - nabrzmiały wzruszeniem.

- Skąd wiesz, co to prawdziwa miłość, Taryn? Taka miłość, co całkowicie bierze cię w niewolę? Kiedy widzisz tę drugą, ukochaną osobę, twoje serce nagle przestaje bić. Albo bije tak głośno i mocno, że omal nie wyskoczy ci z piersi. Patrzysz na nią, umierasz z tej miłości, a ta druga osoba ma ciebie za nic. Czy wiesz, jak to jest, kiedy zżera cię zazdrość? Kiedy ta druga, ukochana osoba umawia się z różnymi osobami, tylko nie z tobą?

Zazdrość... Uczucie tak jej bliskie. Te jego przyjaciółki - Louise Taylor, Sophie Austin...

- Jake... - powiedziała miękko. - Tak bardzo ją kochasz?

- Bardzo. Zawładnęła moją głowę, mózgiem. Przez nią często nie potrafię jasno myśleć.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ranią ją te słowa. Przecież marzyła, żeby pokochał ją, Taryn Webster... Pomyślała sobie jednak, że z nich dwojga bardziej cierpi Jake. Tak bardzo, że zdecydował się jej to wyznać. On, jej szef, osoba zawsze tak bardzo dyskretna, jeśli chodzi o życie prywatne.

- Ona... ona ciebie nie kocha, Jake? - spytała cichutko, miotając się między rozpaczą a wielkim współczuciem. - Może powinieneś jej wyznać swoje uczucie? Zapytać wprost, co ona do ciebie czuje? Może...

Palce Jake'a na jej ramieniu zacisnęły się niemal spazmatycznie.

- A jak myślisz, co ja teraz robię? Właśnie próbuję jej to przekazać!

Taryn czuła, jak w jej ustach błyskawicznie zrobiło się tak nieprawdopodobnie sucho, że nie mogła przełknąć. Gardło ściśnięte... Nie! To niemożliwe, żeby on mówił o niej! O swoim uczuciu do niej! Nie! On... Oni... Nie...

Zamrugnęła oczami. Zachwiała się. Gdyby Jake jej nie trzymał, osunęłaby się na podłogę. Powiedział, że ta miłość zawładnęła jego mózgiem. Jej mózg od nadmiaru uczuć i wrażeń chyba w ogóle przestał już funkcjonować.

Ale przecież, na litość boską, przez ostatnie pół godziny on mówił właśnie do niej!

- Mnie? - spytała prawie niedosłyszalnie. Pewna, że Jake wybuchnie szyderczym śmiechem.

Usłyszała jasny, dźwięczny głos:

- Tak. Kocham cię, Taryn Webster. Straciłem dla ciebie głowę. Prawie kompletnie. I teraz, zgodnie z twoją radą, chciałem zapytać, co ty do mnie czujesz. Czy mam jakieś szanse.

- To ty... nie wiesz? - spytała drżącym głosem. - Przecież ja...

- Co, Taryn?

- Ja... dokładnie to samo.

- To znaczy?

- Kocham cię.

- Skarbie mój...

Utonęła w jego ramionach. Szczęśliwa, przeschęśliwa, nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Z tego szczęścia, oczywiście. Jake tulił ją do siebie, głaskał po głowie, po chwili jednak odsunął od siebie i zażądał:

- Powiedz to jeszcze raz.

- Kocham cię. I proszę, uszczypnij mnie, tylko nie za mocno. Muszę się przekonać, że dzieje się to naprawdę, że to nie sen...

- Nie będę szczypał. Zrobię coś lepszego - powiedział cicho Jake, pochylając głowę. Pocałunek był długi i cudowny, potem Jake podprowadził Taryn z powrotem do sofy. Usiedli, Jake objął Taryn ramieniem.

- Nie mogę jeszcze w to wszystko uwierzyć - szepnęła Taryn. - Jake, powiedz, a od kiedy... ty...

- Kiedy się w tobie zakochałem? Myślę, że już w tej windzie, kiedy uciekałaś od Mellora. Bardzo chciałem dowiedzieć się, kim jesteś. Kilkakrotnie potem wracałem do tamtego biurowca i czatowałem przy windzie, z nadzieją, że ciebie spotkam.

- Niemożliwe!

- Możliwe. Wyobrażasz więc sobie, jak wielkie było moje zaskoczenie, kiedy okazało się, że nowa gospodyni wuja Osgooda, ten wzór wszelkich cnót, to nikt inny, tylko moja tajemnicza nieznajoma z windy!

- Rozpoznałeś mnie!

- Oczywiście! Od razu! Odczekałem, a kiedy nastąpił ten cudowny zbieg okoliczności, czyli Kate męczyła się ze swoją ciążą, a ty kończyłaś pracę u mojego wuja, przystąpiłem do działania. Przyznaję, że nasze interview było raczej nietypowe...

- Ale zatrudniłeś mnie!

- Zatrudniłem. I bardzo prędko zauważyłem pewną zmianę w moim nastawieniu do pracy. Zawsze ją lubiłem, teraz gnałem do pracy jak wariat.

- Och...

Aż westchnęła. Była u szczytu szczęścia.

- Oczywiście, byłem wściekły, kiedy faceci zaczęli ciebie podrywać. Robin Cooper, Kenton Harris, no i przede wszystkim ten Matt, z którym tak słodko gruchałaś przez telefon.

Och, Boże! Był zazdrosny!

Jeśli to sen, bardzo proszę mnie nie budzić!

- Bardzo chciałem, żebyś ze mną też tak słodko pogadała. Raz zadzwoniłem do biura, pamiętasz? Z Włoch. Miałem nadzieję, że to ty odbierzesz telefon, a nie Kate.

- I odebrałam. Kate poszła wtedy wcześniej do domu. Ale ty powiedziałeś, że chciałbyś rozmawiać z Kate!

- Miałem powiedzieć, że zatęskniłem za tobą?

- Zatęskniłeś? Naprawdę? Och, Jake...

- Tak. Zatęskniłem. Jak myślisz, dlaczego wróciłem już następnego dnia?

Taryn poczuła nagle zdradzieckie ciepło na policzkach.

- No tak... - bąknęła. - Wtedy, kiedy ja... byłam pod tym prysznicem...

- Tak! - Jake uśmiechnął się wyjątkowo promiennie. - Wiedziałem, że jesteś bardzo obowiązkowa. Skoro Kate poszła wcześniej do domu, ty będziesz siedziała dłużej, żeby zrobić wszystko przed weekendem. Tak, jak się spodziewałem, zastałem cię w biurze, ale nie przed komputerem.

- O, matko! Nie przypominaj mi o tym!

- Niestety. O takich rzeczach trudno zapomnieć! Taryn roześmiała się, on też. Boże, jak ona go kochała!

Uwielbiała!

- A w tamtą sobotę, kiedy zadzwoniłem, żebyś przyjechała do mnie... Po prostu czułem, że do poniedziałku nie wytrzymam. Musiałem cię zobaczyć. Skąd mogłem wiedzieć, że wieczorem spotkamy się w hotelu „Irwin”?

- Wieczorem miałeś być u „Ravena”!

- Tak. Prosiłem, żebyś zarezerwowała stolik. Miałem zamiar kogoś tam ściągnąć...

- Louise albo Sophie, albo...

- Zazdrosna?

- Oczywiście! Jestem potwornie zazdrosna!

Jake, zachwycony, uraczył ją gorącym pocałunkiem.

- Z twojego powodu, kochanie, odwołałem rezerwację u „Ravena”. Nie miałem ochoty spotykać się z żadną z tych dziewczyn. Poszedłem na bankiet do hotelu, pewien, że spędzę tam nudny wieczór. A tu raptem taka niespodzianka!

Pogłaskał ją czule po twarzy.

- Najpierw byłem wściekły, potem doszedłem jednak do wniosku, że właściwie to świetnie, że przyjmujesz pracę dorywczą. A kiedy wynikła ta sprawa z Abby, niestety, nie przewidziałem wielu problemów...

- Przecież to nie wina Abby, że zachorowała!

- Problemem byłaś ty, skarbie.

- Ja? A co ja takiego zrobiłam?

- Zrobiłaś to, że wpadłem. Już tak ostatecznie. I przeżywałem męki.

Okropnie chciało mi się ciebie objąć, przytulić...

Jak cudownie było tego wszystkiego słuchać!

- Przecież to robiłeś. Kiedy w pobliżu była Abby.

- Oczywiście, że był to wybieg. Przede wszystkim bardzo tego chciałem.

Och, Taryn...

Pocałował ją, bardzo długo i czule.

- Bardzo za tobą tęskniłem.

- Ja też - szepnęła. - Och, Jake, gdybyśmy dziś nie spotkali się w tej windzie...

- I tak byśmy się kiedyś spotkali. Pocałował ją w czubek nosa i puścił na moment, żeby wyjąć z kieszeni kopertę. Zaadresowaną do Taryn.

- Noszę ją ze sobą od wtorku - powiedział. - Chciałem doręczyć ci osobiście, ale za każdym razem, kiedy byłem w połowie drogi do twojego domu, ogarniał mnie strach i zawracałem. Jestem jednak pewien, że jeszcze przed weekendem na pewno bym do ciebie zadzwonił.

- Jake! Napisałeś do mnie list?! Była zachwycona.

- Tak. Choć jest to raczej coś w rodzaju oficjalnego pisma.

Przypominam ci w nim, że jeśli chcesz rozwiązać ze mną umowę o pracę,

obowiązuje cię miesięczny okres wypowiedzenia. Miałem nadzieję, że kiedy wrócisz do mnie na miesiąc, będzie okazja porozmawiać z tobą, przekonać się, czy mam u ciebie jakieś szanse. Na szczęście los nas znów zetknął w windzie i mogliśmy sobie wszystko wyjaśnić. Nie, nie wszystko. Powiedz, Taryn, a ty kiedy zdałaś sobie sprawę, że nie jestem ci obojętny?

- Dochodziłam do tego stopniowo. Najpierw, po miesiącu pracy u ciebie, uświadomiłam sobie, że już nie jestem zakochana w Brianie Mellorze. Więcej - że nigdy nie byłam w nim tak naprawdę zakochana. A miłość do ciebie... W poniedziałek. Tak. W zeszły poniedziałek, kiedy poprosiłeś mnie, żebym wprowadziła się do ciebie i pomogła ci zaopiekować się Abby. Wtedy wiedziałam już na pewno, że cię kocham.

- Jesteś tego najzupełniej pewna?

- Oczywiście, Jake!

- To świetnie! - oznajmił Jake. - Choć jednocześnie mamy problem. Chcę mieć ciebie, Taryn, zawsze przy sobie, i w domu, i w pracy. Widzę tu tylko jedno rozwiązanie. Szef i sekretarka? O, nie. Musisz wyjść za mnie. Jak najszybciej.

- Ja? Za ciebie? Wyjść?

- Tak, skarbie. Wtedy to wszystko razem będzie miało sens. Chcę, żebyś została moją żoną. Oczywiście, przede wszystkim dlatego, że cię kocham. Co ty na to?

- Och, Jake... Nie mogę pozwolić, żebyś był smutny.

Uśmiechnął się cudownym, radosnym uśmiechem.

- Zakładam, że była to odpowiedź pozytywna, tak?

Miał jeszcze wątpliwości?!

- Pani Nash, żona Jake'a - szepnęła. - Tak, kochany, oczywiście, że tak!

